

na Odrze

ZIELONA GÓRA 16 — 29 VIII 1989 R.
ROK XXXIII NR 17 [700] CENA 70 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

List
w sprawie
Lagowa



Dramat
wielkiego
szefa

Całowanie
ziemi



Rozmowa
z Władysławem
Korczem

Świat
wokół nas

SCENY
miłosne
Lato
z krzyżówką

MOI PRZYJACIELE
JAKOBINI

Program tv na dwa tygodnie

Ewa Wanočka

Twarzą ku Odrze

Do truizmów należy zdanie, że nad Odrą spletają się nasze historyczne, polityczne, gospodarcze i kulturowe racje. Jest to niezaprzeczalna prawda, ale truizm mają to do siebie, że, często powtarzane, przestają wywoływać rezonans, na jaki zasługują zawarta w nich treść.

W myśli zorganizowania Muzeum Odrę w formie łańcucha placówek położonych nad jej nurtem, istnieje kusząca szansa uwolnienia tej prawdy z propagandowego banału. Niech przemówią fakty, dokumenty, wykopaliska, folklor, odbudowane zamki piastowskie, kościoły, budowle, cała narosła nad jej brzegami kultura a także cywilizacja — budownictwo i urządzenia wodne, żegluga, a także przyroda doliny Odrę. To wszystko, co składa się na jej tożsamość. Bogactwo to, pokazane w formie nowoczesnej i atrakcyjnej, może wywołać oddźwięk żywy i świeży, pozostawiając zwiedzającym prawo do osobistej refleksji. Co się przez to zyskuje? Indywidualny i intelektualny stosunek do historii, który buduje emocję i przywiązanie, ale też nie wyklucza świadomego myślenia o teraźniejszości a głównie — w jaki sposób tę niemającą rzekę przysposobić do spełnienia wieloletnich ról.

Tak więc Odra doczekała się nobilitacji w postaci tworzącego się, jedyne w kraju muzeum przestrzennego i cnyba jedyne... bezinwestycyjnego, bo w większości oparłego o już istniejące placówki lub budowle do tego celu przystosowane.

Jaka jest kondycja Odrę, jaki jest jej status gospodarczy, jaki nasz, Polaków stosunek do jej znaczenia historycznego, kulturowego, cywilizacyjnego?

Z tymi pytaniami stanęliśmy na pokładzie statku szkolnego „Westerplatte II”, który zacumował w porcie gliwickim, by nas powieźć aż do Szczecina na spotkanie z Odrą i miastami położonymi nad jej brzegami. Ale nie była to przecież krajoznawcza wycieczka. Uczestnicy pierwszego rejsu studyjnego, a byli nimi słuchacze studium podyplomowego: „Muzealnictwo i ochrona zabytków techniki”. Politechniki Wrocławskiej pod kierunkiem dr Stanisława Januszewskiego, studenci architektury tej uczelni, a także dziennikarze mieli przed sobą trudne zadanie stworzenia katalogu zabytków techniki i kultury materialnej związanych z Odrą, który ma wzbogacić zbiory doku-

mentacji służącej urzeczywistnieniu Muzeum Odrę.

Uczestnicy rejsu: muzealnicy, inżynierowie różnych specjalności, konserwatorzy wojewódzcy, dokumentaliści, historycy sztuki, w miejscach postoju statku wyruszyli w grupach interdyscyplinarnych w teren i sporządzali dokładne opisy urządzeń portowych, słuz, węzłów wodnych, wież ciśnień, starych mostów, młynów wodnych, hydroelektrowni, starych fabryk, maszyn parowych, spichlerzy itd. Wykonywali również dokumentację fotograficzną i na taśmie wideo, proponując zarazem w wielu przypadkach ich nowe wykorzystanie i zagospodarowanie, dla celów muzealnych czy rekreacyjnych. Rejs dokumentowała też ekipa telewizyjna szczecińskiej. Natomiast studenci architektury przemysłowej, a to dotychczas za pomocą tuszu i piórka co ciekawsze zabytki, dając przykład wręcz profesjonalnej biegłości a także pracowitości.

— Rejs dla mnie jako dla rysownika — mówi student II roku — Mikołaj Bartela — jest przede wszystkim odkryciem piękna dziesiętnościennej architektury przemysłowej a to dotychczas było dla mnie tajemnicą. Natomiast bezpośrednim impulsem do wzięcia w nim udziału było pytanie skierowane przez jednego z czołowych urbanistów Europy prof. Kolhaca z Amsterdamu do naszych architektów na zakończenie wykładu: — panowie, dlaczego odwróciście się tyłem do Odrę?

Rysunki studentów, wystawiane w czasie spotkań z władzami w Kędzierzynie-Koźlu, Opolu, Nowej Soli i Szczecinie, a także oglądane na pokładzie, dla wielu osób stały się takim samym odkryciem, jak dla tego studenta.

Zdarzało się więc, że rejs zmieniał spojrzenie na dziedzictwo cywilizacyjne, a w dyskusjach zwracano uwagę na potrzebę jego ochrony przed niszczeniem działaniem czasu, na niewłaściwe użytkowanie, a także przestrzegano przed beznadziejnymi decyzjami, jak to się stało przed laty w przypadku wysiedzenia w powietrze gotyckich młynów św. Klary we Wrocławiu czy zdat-

nych do odbudowy ruin wspaniałego zamku w Kostrzynie. Na szlaku Odrę, poczynając już od pierwszych penetracji w Gliwicach, gdzie funkcjonuje jeszcze gisieria zbudowana przez Szkota Baildona, znana dziś jako GZUT ze specjalnością — odlewaniem pomników, gdzie napotkaliśmy piękną galerię — świadectwo epoki żelaza, od urokliwej starej słuz w Koźlu, od samego portu w Kędzierzynie-Koźlu, największego portu śródlądowego w kraju, na całym szlaku od miasta do miasta aż do Szczecina (stara lasztownia, spichlerze) patrzyliśmy na Nadodrę z perspektywy rzeki, jej dobroczynnego wpływu na rozwój cywilizacji. Ale także oglądaliśmy zniszczenia wojenne do dziś tu i ówdzie nie zatarte wśród odbudowanego pejzażu, przypominające, że rzeka była też linią krwawych zmagań i linią zwycięskiego powrotu na piastowskie ziemie.

We Wrocławiu, patrząc na miasto z poziomu rzeki, które stąd otwiera swoje wnętrza i perspektywy, łatwo odczytujemy zamysł dawnych urbanistów architektów, by swoimi fasadami i bulwami zwrócone było ku rzece, wschodzącej w nie odnogami i kanałami. Ale dziś miasto jest od rzeki w pewien sposób odwrócone. Nie ma białej floty, łodzi, jachtów, z których można by je oglądać, nie ma barek i holowników. Nabrzeża mają aż 41 gospodarzy, czyli praktycznie żadnego, co widoczne jest jak na dłoni.

Do ponownego zwrócenia twarzy ku Odrę przyczyni się zapewne stworzenie we wrocławskim węźle wodnym muzeum ekologicznego, działającego we własnym środowisku, w skład którego wejdzie również największa w kraju wieża ciśnień o wspaniałym wnętrzu — przyszła siedziba muzeum techniki oraz muzeum żeglugi odrzańskiej w zatoczce nieopodal Panoramy Racławickiej. Stana tutaj stary holownik i barka z możliwością pokazów filmów wideo o tematyce odrzańskiej.

Mocnym akcentem na szlaku — jest Brzeg z odbudowanym renesansowym zamkiem klasy zerowej, którego dyrektor Paweł Kozerski zamierza ekspozycję zamkowe również związać z tematyką Odrę. Tutaj w Brzegu, w naj-

Kiedys mówilo się, że w Chinach co rano wszyscy czytają tę samą gazetę, bo innych nie ma, tylko ta jedna. Dziś taki ranek nastał w Polsce. Z tym, że nie chodzi o czytanie gazet, lecz cen na artykułach żywnościowych, w dodatku w każdym województwie innych.

Jest wtorek 1 sierpnia 1989 r., pierwszy dzień „urynkowania” (prawda, jak to się słicznie nazywa?) gospodarki, godzina 11.30, w Zielonej Górze. Miasto oddycha spokojniej po wczorajszej inwazji w nocy.

W „Zubrze” mortadela po 750 zł i krakowska parzona po 2.700 zł. Kolejka uważa te ceny za rewelacyjne. Ustawia się z dwóch stron i już po obu kielbasach. Znika też, rozłożona na pniu, tłusta i kościata wołowina po 1.100 zł za kilo. Kawał trochę lepszego mięsa wołowego po 1.900 zł za kilogram kupuje jedna osoba, pakuje do siatki — i koniec. Ten sklep nie ma już nic do

już w nie nie wierzę. Ten kraj jest spi-

sany na straty!

Pani w swetrze żyje z renty, 37.200 zł. Sześć tysięcy płaci za mieszkanie, trzy za telefon, do tego opłaty za światło, gaz, telewizor.

— Starczy mi tylko na kiepskie jedzenie — mówi. — Nie pamiętam, kiedy jadłam szynkę lub czekoladę. Kupuję tylko to, co najtańsze. Gdy potrzebuję sprzęt do domu lub coś z ubrania, biorę maszynopisanie... Zbaczamy z tematu, bo pani w swetrze pragnie, abym wysłuchała jej uwag. Jej zdaniem praca maszynistki, zawsze niedoceniana, teraz jest w pogardzie. Zeleniodawcy dają materiały niechlujne, pogryzione, z błędami. Pół biedy, gdy błąd jest ortograficzny lub gramatyczny, takie można samej poprawić. Gorzej, gdy w tekście brak logiki. Maszynistka wytknie brak sensu, a autor jej nawymyśla i nie chce zapłacić...

Halina Ańska

Pejzaż bez kartek

Przez chwilę trwa rozmowa o tym, jak żyć, gdy dochody są coraz mniejsze w porównaniu z cenami, oraz jak i gdzie zarobić. Wąsacz twierdzi, że najlepiej wychodzi się na handel.

— Tylko patrzeć, a rozwinie się handel wódką na skalę, o jakiej nie mamy wyobrażenia. Ludzie porobili horek dale zapasy. Widziałem piwnicę, w której stoi co najmniej trzysta butelek z krakowiakiem i drugie tyle wina...

Gdy później powtarzam to w redakcji, kolega, który właśnie wrócił z urlopu, twierdzi, że ktoś obrótny zrobiłby interes, np. w Lubniewicach. Była zagrycha, brakowało alkoholu. Wczasowicze gotowi byli płacić każdą cenę. Gdyby komuś się chciało przywieźć kilka skrzynek i sprzedawać po butelce, wróciłoby do domu bogatszy. Albo trafiliby do „kicia”...

Sklep przy ul. Bohaterów Westerplatte, który jeszcze niedawno nazywał się dumnie „komercyjnym” i wabił przez różnymi mięsami, wędlinami i podrobami, dziś, w tak ważnym dniu, zamknięty naглуcho. Remont potrwa do 16 sierpnia.

W „Delikatesach” na deptaku, przy stoisku mięsnym, kolejka mocno zbita i skrócona. Co jest? Jakies mięso. Po ile? Koniec kolejki tego nie wie. Koniec kolejki przynajmniej się do salcesonu po 900 zł za kilo.

— Do mnie chyba nie dojdzie — martwi się pani w żółtym swetrze. — Możemy porozmawiać, czemu nie? — zgadza się. — Tylko co nam przyjdzie z tej rozmowy i tego pisania? Tyle samo co z gadania w telewizji. „Oni” i tak zrobią swoje.

— Wszyscy tylko gadają — wtrąca pan z wąsami, w dżinsach-marmurkach i bluzce z napisem „Hong-Kong”. — Sejm, senat, plenum, wszystko jeden diabeł. Przemawiają, zmieniają stolki. A ludziom żyje się coraz gorzej. Ja tam

Ciąg dalszy na str. 4

Ciąg dalszy na str. 4

Pocztówka z Lubniewic

Coraz dalej od wczasowiczów

Na przesmyku między jeziorami Lubiąż i Krajnik rozłożyły się Lubniewice. Dawniej były miasteczkiem, teraz są wsią i siedzibą najmniejszej gminy w województwie gorzowskim. W latach 60-tych odkryto, że tamtejsze warunki klimatyczne są niezwykle sprzyjające, że woda ma czystą i lasów wokół wiele, i tak się zaczęła wczasowiska kariera miejscowości.

Po jednej stronie większego jeziora Lubiąż powstał ośrodek wypoczynkowy Zakładów Włókien Chemicznych „Stilon”, po drugiej — kolejno — FWP w „Zamku”, ośrodek „Warty-Tourist”, dalej ośrodki zakładowe z Poznania, Wrocławia, Zielonej Góry, Gorzowa i w pewnym oddaleniu — ośrodek ZW ZSMP z Katowic. Najładniejsze i stwarzające najlepsze warunki do wypoczynku są te ośrodki, które zajmują półwyspy, np. „Stilonu” z jednej strony i WZGS z Zielonej Góry — po drugiej. Można je ogrodzić, zamknąć i wypoczywać w spokoju. Gdyby jeszcze wczasowicze nie wychodzili poza własny teren... Bo każde wejście w lubniewicki świat może zburzyć dobry nastrój zrodzony z kontaktu z przyrodą.

Wycieczka do sklepów w żadnej miejscowości nie jest przyjemnością, a tym bardziej w Lubniewicach. Mało towarów i wszędzie tłok. Szczególnie trudno nabyć produkty spożywcze, bowiem praktycznie zakupy da się robić w jednym sklepie. W pobliżu pól namiotowych i ośrodków (a nie wszyscy korzystają z drogiego stołowego żywienia) nie ma żadnego punktu sprzedaży artykułów pierwszej potrzeby. Podobno na polu namiotowym postawiono dwa lata temu specjalne kioski, ale nie miał ich kto uruchomić.

Zadawną bolączką Lubniewic jest brak przyzwoitej restauracji. „Leśna” nad jeziorem pełni w zasadzie funkcję jadalni wczasowej, „Rusalka” w centrum — jest przede wszystkim pijalnią piwa. Wieczorem, gdy ktoś ma dużo szczęścia i lubi dyskotekę, może przy okazji coś zjeść w barze „Mustang”. W tym roku kosztował 4 mln zł zmodernizowano zaplecze „Leśnej” i zlecono przygotowanie projektu modernizacji „Rusalki”. Są to próby latania, które nie na wiele się zdadzą. Lubniewicom bardzo potrzebna jest nowa, ładna restauracja wraz z kawiarnią.

Właścicielem większości sklepów i restauracji jest Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska” z Sulęcina. Prezes — Henryk Szczepny — deklaruje pełną troskę o handel i żywienie w Lubniewicach, ale pieniądze na budowę nowej restauracji nie ma. Wszystkie fundusze spółdzielni kieruje teraz na budowę pawilonu handlowego. Będzie miał 800 m kw. powierzchni sprzedażnej i tu będzie można nabywać artykuły przemysłowe już może od przyszłego roku.

Najważniejszą inwestycją Lubniewic jest oczyszczalnia ścieków. Gdy w 1983 r. podejmowano jej budowę, miała kosztować 126 mln zł. Koszt obecny — 510 mln zł. Sumę tę rozpisano na wszystkich właścicieli ośrodków wypoczynkowych. Sytuacja finansowa niektórych zmieniła się na tyle, że egzekwowanie pieniędzy od niektórych jest raczej mrzonką. Z wszystkich zobowiązań sumiennie wywiązuje się, a nawet je mnoży — gorzowski potentat — „Stilon”. Jest on głównym inwestorem kolektorów i sieci kanalizacji. Już pod ulicą Harcerską położone zostały rury kanalizacyjne a ulica zalana asfaltem. Rozpoczęła ona oddaną niedawno trasę dojazdową do wsi Głisno. Zbudowana została przede wszystkim dlatego, że najprawdopodobniej już w przyszłym roku trzeba będzie zamknąć część głównej drogi przez Lubniewice, by pod ziemią zakładać kanalizację. Zakończenie budowy oczyszczalni ścieków planowano początkowo na 1989 r., ale trzeba było termin przesunąć na 1990. Na razie przyszła oczyszczalnia robi smutne wrażenie. Gotowe już pojemniki zarastają chwastami, w sąsiednim budynku świecą ocodolone okna bez szyb. Ale podobno pojemnikom chwasty nie szkodzą, a szyby wstawi się, gdy nadejdą potrzebne urządzenia.

Inna lubniewicka inwestycja także zniechęcała. Miejscowym dzieciom bardzo brakowało szkoły. Rozpoczęto ją budować w czynie społecznym, ale szybko okazało się, że jej rozmiary i koszty znacznie przekraczają możliwości finansowe mieszkańców. W ubiegłym roku wylano fundamenty i przesunięto budowę do inwestycji z budżetu województwa. W tym roku i to źródło wyschło, pieniądze na budowę szkoły nie ma. Jedynie „Stilon” jest konsekwentny i daje 20 procent wartości, bo chce korzystać z przyszłej sali gimnastycznej i z budynku szkolnego na kolonie dla własnych dzieci bądź na wymianę.

Więcej szczęścia niż szkoła będą miały zapewne domki szeregowe, które mają stanąć naprzeciw niej. Wzniosła je właścicielka z własnych pieniędzy. Będą tu również 4 domki dla pracowników „Stilonu” sfinansowane przez zakład.

Kanalizacja, szkoła, domki, także kino, teatr letni, parcele pod nowe osiedla — cała przyszłość Lubniewic przeniosła się w pobliże ośrodka „Stilon”, tego jedynego, samotniczego po południowej stronie jeziora. I coraz dalej stąd do dzielnic wypoczynkowej, coraz dalej od wczasowiczów.

A przecież „Zamek” domaga się remontu, ścieżka nad jeziorem brudna, oferty handlowe ani rozrywkowe nie ma żadnej. A może Lubniewicom zupełnie nie zależy na wczasowiczach?

KRYSTYNA KAMIŃSKA

LAUREACI NAGRÓD

PREZESA RSW

Miło nam poinformować, że wśród tegorocznych laureatów nagrody Preza Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch” znaleźli się również zielonogórzanie. Laureatem na grody II stopnia został red. Zbigniew Szydłowski z „Gazety Lubuskiej” za „osiągnięcia w działalności informacyjnej oraz komentowanie ważnych wydarzeń społeczno-politycznych”. Nagrodę zespołową, także II stopnia, otrzymał zielonogórski Klub Międzynarodowej Prasy i Książki „za interesujące inicjatywy w dziedzinie promocji i sprzedaży książek”.

Chętnie czytamy teksty red. Szydłowskiego i z przyjemnością odwiedzamy znany z aktywności i różnorodnych inicjatyw popularny emplik, toteż z tym większą serdecznością gratulujemy laureatom!

ROZDANO INDEKSY

W lubuskich uczelniach rozpoczęła w tym roku studia jak zwykle nowiacy, głównie absolwenci liceów ogólnokształcących. I tak po egzaminach wstępnych, badaniach sprawnościowych i lekarskich do gorzowskiej Filii poznańskiej Akademii Wychowania Fizycznego przyjęto 240 osób, w tym 60 na studia dwuletnie. Ogółem zgłosiło się do egzaminów 460 osób.

O indeksy Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze ubiegało się 408 absolwentów szkół średnich. Egzaminy wstępne zdało 350 osób, wszyscy zostali przyjęci. Największym zainteresowaniem cieszyły się kierunki budownictwa, elektroniki, mechaniki, nieco mniejszym — inżynieria sanitarna. Aż 1040 osób ubiegało się o przyjęcie na studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze. Oprócz egzaminów wstępnych przeprowadzono również testy kwalifikacyjne. W rezultacie — po zdaniu egzaminów przez 517 osób — indeksy otrzymało 478 młodych ludzi. I tak np. na filologię polską — 60, na filologię rosyjską — 35, na filologię niemiecką — 42 osoby. Najmniej, bo tylko 13 osób, przyjęto na wydział fizyki i dlatego we wrześniu została przeprowadzona dodatkowa egzaminacja na ten kierunek studiów, a także — na 3-letnie zawodowe studia z zakresu wychowania przedszkolnego.

Według oceny egzaminatorów, poziom wiedzy zdających w tym roku na studia nie odbiegał od lat ubiegłych, choć znacznie obniżył się w zakresie znajomości języków obcych. Czyżby już nikt nie zamierzał po studiach emigrować za chlebem?

WYZNANIE MŁODEGO ARTYSTY

Jerzy Fedro, artysta grafik, absolwent poznańskiej ASP, mieszkaniec Gubina, wyznał „Gazecie Lubuskiej”: „Wciąż tylko czepię z tego, co robiłem na studiach. Nie pracuję właściwie. Nie rozwijam się. Pozostaje w za-wieszeniu, co przy rozpierającej mnie energii, jest trudne do zniesienia. Nie

mam właściwie gdzie mieszkać. (...) Na szesnastu metrach kwadratowych w teściowej w Gubinie z żoną i dwójkiem małych dzieci. W pokoju stoją rowery i wózki. Tu się je i pierze. Prace? Moja praca stoi w garażu u babci Czesław, między jednym a drugim praniem, albo w nocy coś narysuję. Nie mogę pracować i nie utrzymuję rodziny z własnej pracy. Stypendium minimalne i to, które przysługuje mi ostatnio przez Urząd Wojewódzki to sumy niewielkie, jednorazowe. Wciąż sprzedaję grafiki zrobione na studiach i chociaż sprzedają się dobrze także za granicą, to przecież się kończą. Spalam się. Najgorsza jest niemoc. (...) A przecież nie chcę jałmużny, nie za darmo! Chcę tylko móc i mieć gdzie robić to, czego się nauczyłem.”

Komentarz zbyteczny.

OCHRONA ŚRODOWISKA POD... OCHRONĄ

Co prawda nie mamy jeszcze w Zielonej Górze partii Zielonych, ale gospodarze województwa nie tracą z pola uwagi spraw dotyczących ekologii. Na sesji WRN w Zielonej Górze był to jeden z tematów. Stwierdzono m.in. zmniejszenie zanieczyszczenia wód o 5,7 proc., pozytywne z przystąpienia województwa do paktu sygnatariuszy Konwencji Rzeki Warty oraz postępy w stosowaniu utylizacji chemicznych odpadów. W dyskusji radnych oraz w wystąpieniu wicewojewody Stanisława Matuszewskiego dominowały wątki związane z ochroną gleby, wód, powietrza i ciszy.

Aby wody były czyste a środowisko niezatrute, potrzebne są oczyszczalnie ścieków. Szesć lat temu przyjęto program ochrony środowiska, zalecając budowę siedmiu komunalnych oczyszczalni. Dotychczas wybudowano jedną w Zbąszyniu, buduje się cztery: w Lagowie (?), Świebodzinie, Ślawie i Babimście, zaś w przyszłym roku rozpocznie się budowę pozostałych dwóch — w Kargowej i Zbąszyniu. Z zaplanowanych 47 oczyszczalni zakładowych zbudowano 18, natomiast w trakcie budowy jest 19. Poza harmonogramem udało się wybudować w ciągu trzech lat 23 różnych oczyszczalni. Na ochronę przed ściekami mogą liczyć jeziora Nieśisz, Zbąszynskie, Wilkowskie, Tarnowskie i Wielkie.

Niestety, jak zauważył Marek Zeromski — przewodniczący Komisji Gospodarki Wodnej i Ochrony Środowiska, to co osiągnięto w budowie oczyszczalni nie jest jeszcze w stosunku do potrzeb niewielkie. Wszystkie łączne działania na rzecz ochrony środowiska zahamowały zaledwie jego dalszą degradację, lecz nie przyczyniły się do poprawy sytuacji na dziś...

IMPREZY MUZYCZNE W GORZOWIE

W kalendarzu gorzowskiej organizatorzy życia muzycznego nie zaspali gruszek w popiele, jak to się popularnie powiada. Do organizacji ciekawych imprez muzycznych wykorzystano oczywiście miejscowy amfiteatr. W sierpniu odbyła się tu — z udziałem najlepszych

krajowych i zagranicznych zespołów — wielka impreza bluesowa pt. „Jazz Jan tar”, następnie gorzowanie okłaskiwa li recital Andrzeja Rosiewicz, Również w sierpniu zorganizowano kolejne „Reggae nad Wartą”.

Co się wydarzyło w sierpniu w Zielonej Górze, nie wiemy.

NAGRODY DLA AMATORÓW FOTOGRAFII

W V Ogólnopolskiej Wystawie Fotografii Dzieci i Młodzieży Szkolnej zorganizowanej w Białymstoku, wśród wielu nagrodzonych amatorów, uczestniczących w konkursie w dwóch grupach wiekowych, byli także zielonogórzanie. II nagrodę zdobył Roman Kuliński z Zar. Bogdan Wzłętek z Zielonej Góry — III nagrodę — dyplom Związku Polskich Artystów Fotografików, natomiast dyplom Polskiej Federacji Stowarzyszeń Fotograficznych otrzymał Piotr Dudek, także z Zielonej Góry. Ponadto jedną z trzech równorzędnych nagród zespołowych jury przyznało Zarskiemu Domowi Kultury. Na wystawie pokazano 288 prac 116 autorów, w tym 46 trzynastu autorów z naszego województwa.

(E. L.)

POZOSTAŁY TYLKO TRADYCJE?

Władysław Korcz należy do nielicznego grona znawców orzeszności polskiego rzemiosła, nie wspominając już o jego gruntownej wiedzy dotyczącej tradycji rzemiosła lubuskiego. W tym roku nakładem „Wydawnictwa Spółdzielczego” ukazała się jego książka pt. „Patriotyczne tradycje polskiego rzemiosła”, w nakładzie trzech tysięcy egzemplarzy.

Autor, w oparciu o bogatą literaturę przedmiotu, omawia przemiany społeczno-gospodarcze i sytuację rzemiosła w drugiej połowie XVIII wieku, jego kondycję w okresie Królestwa Kongresowego i powstania listopadowego, udział rzemieślników w Wiośnie Ludów ze szczególnym uwzględnieniem ruchów powstańczych na ziemiach polskich w latach 1846-1848, udział rzemieślników w powstaniu styczniowym. Pozostałe rozdziały książki są poświęcone walce tej grupy społecznej o wyzwolenie, sytuacji rzemiosła podczas drugiej wojny światowej oraz w latach 1945-80 już w Polsce Ludowej.

DO NASZYCH CZYTELNIKÓW

Wszystko drożej, „Nadodrza” niestety też. Z przykrością powiadamy, że poczynając od bieżącego numeru jeden egzemplarz naszego pisma kosztuje 70 zł. Podwyżka ta nie złagodzi deficytu „Nadodrza”. Wzrost ceny wynika z coraz droższych usług poligraficznych, papieru, transportu, energii elektrycznej etc. Z powodu braku dostatecznej ilości papieru drastycznie obniżyliśmy nakład pisma do 10 tysięcy egzemplarzy, co w konsekwencji jeszcze bardziej pogłębia nasz deficyt. A jeszcze niedawno „Nadodrza” ukazywało się w nakładzie ponad 18 tys. egz.

Ufamy, że nasi Czytelnicy pozostaną nadal z nami.



Panie Redaktorze,

Wdzięczny będę za zamieszczenie garści uwag po lekturze artykułu p. Kamińskiej poświęconego mojej gorzowskiej dyrekcji („Nadodrza” nr 15). Autor ka na tyle swobodnie traktuje w nim fakty (co często jej się zdarza w publikacjach o teatrze, i to szczególnie na łamach „Nadodrza”), że prostowanie wszystkich nieścisłości wydaje mi się zajęciem jałowym. Zatrzymam się zatem przy kilku bardziej wykwintnych.

Na samym wstępie p. Kamińska, pewnie by nadać sprawie pikantny smaczek, stwierdza, że z końcem ubiegłego sezonu „niemal wszyscy aktorzy spakowali już walizki i więcej tu nie wrócą”. Brzmi to jak początek opowieści o kolejnym teatralnym skandalu — tym razem w Gorzowie. Ale informacja jest z gruntu fałszywa, bo o ile ja wiem — a z urzędu wiem to lepiej — znaczna część, a może nawet większość obecnych zespołu zamierza tu nadal pracować. Nie wystraszyliśmy aktorów — ani ja, ani mój następca. Pewnie będą oni zdi-

wieni po powrocie, że p. Kamińska udzieliła im już odpłaty. P. Kamińska chciałaby ich wysłać wraz ze mną do Gdyni, bowiem — jak pisze „najczęściej bywa tak, że za dyrektorem idzie aktorski zespół. Antoni Baniukiewicz za proponował wspólne odejście tylko jednemu aktorowi, ale ten nie wyraził zgody”.

Jakże nie lubią mnie ci wszyscy aktorzy, których kiedyś sprowadziłem do

li tu pracować”. Znowu jest to wiadomość oparta na objawieniu, ale dotąd nieznana mi, który podpisywał wszelkie angaże i zwolnienia (niekiedy, przynajmniej, w nagłym trybie za wódkę). Wręcz odwrotnie — miewałem kłopoty z wyborem całkiem przyzwoitych reżyserów, bo rynek ich pracy jest niezbyt duży.

Ubolewa p. Kamińska nad wyborem niemu teatru w miejsce, bowiem nie interesowały (dyrektora) opinie wypowia-

„Pięć sezonów dyrektora Baniukiewicza” — ciąg dalszy

Gorzowa! I jak dokładnie p. Kamińska wie, komu proponowałem angaż w innym mieście! Może jeszcze za jakie pieniądze. Pewnie przeprowadziła ankietę wśród zespołu w tej sprawie, bo przecież od mnie owej wiadomości nie uzyskała. — A prawda jest taka, że z dniem u (nawet owemu rzekomemu chwalił się) aktorowi nie proponowałem wyprawy do Gdyni. Powód tego jest prosty — obejmuję teatr z wystarczająco dużym zespołem.

Obroncy sceny gorzowskiej ubolewa także nad tzw. fluktuacją kadr: „W środku sezonu odchodzili dobrzy aktorzy, sprawdzili reżyserzy nie chcie-

li tu pracować”. Znowu jest to wiadomość oparta na objawieniu, ale dotąd nieznana mi, który podpisywał wszelkie angaże i zwolnienia (niekiedy, przynajmniej, w nagłym trybie za wódkę). Wręcz odwrotnie — miewałem kłopoty z wyborem całkiem przyzwoitych reżyserów, bo rynek ich pracy jest niezbyt duży.

Teatrowi także przypisuje p. Kamińska słabość tegorocznych Gorzowskich Spotkań Teatralnych: „Teatr w ogóle nie włączył się do ich przygotowania, mało, pobierał opłatę za wynajem sali na występy zaproszonych zespołów”. —

Ależ to nikt inny niż autorka tych słów nakłaniała mnie przed paroma laty na łamach „Ziemi Gorzowskiej”, bym dał sobie spokój ze Spotkaniami, organizacją których powinienem zająć się opłacany dyrektorem tego festiwalu. Natychmiast po słuchaniu tej rady i już przynajmniej 3 lata nie wypinałem piersi po orderach ani pleców po bitych z Spotkania. Natomiast władzom miejskim zgłosiłem kan dydaturę na dyrektora Spotkań — własnie p. Kamińska, która propozycji nie odmówiła. Niestety, nie na mocy mojej

decyzji kandydatura ta odpadła i może właśnie dlatego festiwal stał się tak niedobry. No, a co do sali — to już mój poprzednik inkasował za jej wynajem w czasie Spotkań (zresztą zgodnie z sensem i prawem), a ja robiłem to w ślad za nim przez całe pięć lat, nie tylko w bieżącym roku.

Myśl przewodnią całego elaboratu brzmi mniej więcej następująco: po trzech latach tłustych mi dyrekcyj przysły dwa lata chude, za co zresztą autor ka wielokrotnie gotowa byłaby zdjąć ze mnie część winy, przypisując ją warunkom życia i zmieniającej się widowni. Wielokrotnie podkreślałem publicznie wielkie uznanie dla widowni gorzowskiej. Pięć lat obcowania z nią jeszcze mi utrwaliło tę opinię. A z warunkami życia jakoś sobie radziłem, skoro nie wywołał mnie na tarcy. Natomiast dwa lata chude skłoniły byłbym przypisać raczej innym okolicznościom. Otoż właśnie przed mniej więcej dwoma laty zgłosił się do mnie pewien młody człowiek, który powołał się na swe prywatne układy (tak to określił) z p. Kamińską, zaproponował mi pomoc w prowadzeniu teatru. Rzeczywiście p. Kamińska omdlewała kiedyś publicznie nad nim z zachwytem, nazwała więc, jako na ogół znanego, nie przytaczam. Nie wydało mi się jednak celowe, by młody człowiek właśnie w teatrze miał się z p. Kamińską układać, a że do tego i manery miał on nieszczerne, więc odprawiłem go z kwitkiem. (Może stąd niegatywne w zamierzeniu autorki stwierdzenie: „Mnożyły się plotki o despotyzmie nie dyrektora”, choć cecha szefa teatru nie musi być właśnie układnością).

I zaraz po jej wizycie zaczęły się w recenzjach p. Kamińskiej moje dwa lata chude. Teraz żałuję, że nie utworzyłem z tym gościem dyrekcyjnej spółki. Pewnie końcówka w Gorzowie miał bym także udaną.

Gorzów Wlkp. dn. 21.07.1989 r.

ANTONI BANUKIEWICZ

SZANOWNY PANIE WOJEWODO!

Z głębokim niepokojem i troską obserwuję postępującą degradację Łagowa, zwanego niegdyś „perłą” Ziemi Lubuskiej. Niepowtarzalne uroki krajobrazowe, zabytkowe obiekty i walory klimatyczne sytuują tę miejscowość w rzędzie najprzedniejszych i unikalnych, nielicznych w kraju wczasowisk.

Z Łagowem od lat powojennych utrzymywały się liczne wydarzenia kulturalne o znaczeniu międzynarodowym. To przecież tutaj właśnie przebywali pianiści, aby doskonalić swoje umiejętności przed ogólnopolskimi konkursami chopinowskimi, to tutaj zrodziła się i dotychczas nie za nikłą tradycją plenerów malarskich, to z Łagowem właśnie na stałe związał się film polski. Dość wspomnieć, że w tej miejscowości nakręcano „Go dziny nadziei” a co roku odbywały się festiwale filmowe...

To przypomnienie kulturotwórczej roli Łagowa dziś wydaje się celowe i uzasadnione. Wydarzenia tam rozgrywane się przyniosły przecież należny splendor całemu województwu, regionowi. I nie bez kozery to czynię, gdyż współczesny młody człowiek może po prostu o tym wszystkim nie wiedzieć.

Ale legenda — legenda, natomiast codzienność Łagowa jako od kilku lat nominalnego uzdrowiska wypuściła je uczucie nie tylko troski, ale i grozy. To uzdrowisko przecież marnieje nam w oczach, ulega dewastacji zabytkowy park krajobrazowy, odre-

List otwarty do Wojewody Zielonogórskiego

montowany z takim trudem i w tak długim czasie XIV-wieczny zamek dziś sprawia po prostu wrażenie. W dalszym ciągu nie ma kompletnej kanalizacji, wodociągów, oczyszczalni ścieków, wystarczającej bazy noclegowej. Nieliczne nowe obiekty, jak np. apteka, nie zostały wkomponowane w architektoniczny porządek miejscowości. Plac wokół zamku został pokryty asfaltem, nad coraz brudniejszymi wodami jezior ulokowały się liczne domki — potworki, zaś wśród zabytkowych buków biwakują zachodni turyści — bezpłatnie wycieczając na piękne środowisko. Piękną o tym z taką pewnością, gdyż przez kilka ostatnich lat byłem naczelnym świadkiem braku jakiegokolwiek zainteresowania ochroną Łagowa ze strony jego gospodarzy.

Zielonogórska prasa co kilka lat podnosi alarm o obronie Łagowa. Jak dotąd bezskutecznie. Pozwoli pan, panie Wojewodo, że przypomnę fragmenty niektórych publikacji. Oto np. w czerwcu 1986 roku „Nadodrże” opublikowało obszerną relację swoich dziennikarzy z pobytu w Łagowie i okolicznych wsiach. Powstał obraz czernią wymalowany, co oczywiście. Pisał wtedy, po wstępnych rozmowach z gospodarzami gmi-

ny, przewodniczącym Gminnej Rady Narodowej Bogusławem Barszczem, I sekretarzem KG PZPR Romualdem Kurytą i naczelnikiem Mirosławem Popkiem: „Omówiliśmy, z głębokim zaskoczeniem, przyszłość tej „perły” Ziemi Lubuskiej, wiele istotnych problemów, zwłaszcza w aspekcie pilnej potrzeby powstrzymania zagrożenia ekologicznego tej wczasowej miejscowości, przyspieszenia budowy sieci kanalizacyjnej i oczyszczalni ścieków, intensywniejszego rozwoju całej infrastruktury... A tych wszystkich potrzeb nie są w stanie rozwiązać same władze gminne. Niezbędna jest większa niż dotychczas pomoc władz wojewódzkich. Niestety, apele kierowane od kilku lat pod adresem Urzędu Wojewódzkiego, publikacje prasowe i interpelacje radnych jak dotychczas nie przyniosły oczekiwanych rezultatów...”

W wyniku opublikowania efektów tego dziennikarskiego rekonesansu, problemami Łagowa zainteresowały się władze centralne. Na ich wniosek, już w październiku 86 roku w Łagowie odbyło się robocze spotkanie władz wojewódzkich z gospodarzami i aktywnym społecznym gminy, z udziałem przedstawicieli naszej redakcji. W tej interesującej i pożytecz-

nej naradzie uczestniczyli wicewojewoda Józef Łosyć oraz dyrektorzy 13 wydziałów Urzędu Wojewódzkiego. Rozpatrzone podczas wielogodzinnej dyskusji wiele różnych problemów łagowskiej gminy i samego uzdrowiska, podjęto kilka zobowiązujących i skierowanych do realizacji ad hoc — wniosków. Według zapisu, sporządzonego przez Wiesławę Nodzyńską („Nadodrże” nr 22 z 86 r.) — „Dyskusję podsumował wicewojewoda Łosyć. Oto najważniejsze tezy tego wystąpienia. Podstawą działań rewaloryzacyjnych w Łagowie musi być program przedstawiony przez Architektę Wojewódzkiego i przewodniczącego WKPG. W tej sprawie trzeba działać konsekwentnie, ale z poczuciem realizmu. Należy uwzględnić opinie mieszkańców Łagowa. Wniosek w sprawie przekształcenia łagowskiego zamku PGR jest nader interesujący i godny realizacji. Na jego remont muszą znaleźć się niezbędne środki. Są jednak sprawy, od których już dzisiaj można zaczynać. Z poprawą stanu sanitarnego, estetyki, usprawnieniem usług, handlu i gastronomii w Łagowie nie można zwlekać. Musimy powstrzymać degradację Łagowa. Niezbędne jest tworzenie właściwego klimatu wokół tej miejscowości. Proponuję spotkanie za-

rok, w celu zbilansowania tego, co udało się w tej sprawie zrobić. Łagów to nasza wizytówka”. Pod tekstem W. Nodzyńskiej znalazł się do pisk: „Na ostatniej konferencji prasowej Wojewody Zielonogórskiego poinformowano nas, że decyzją Wojewody zamek łagowski przyjęty został przez Świebodziński Kombinat PGR...”

Z ubolewaniem muszę stwierdzić, panie Wojewodo, że tamta narada była niepotrzebna, szkoda było tracić czasu i pieniędzy na paliwo do samochodów. Albowiem do dziś sytuacja ani drgnęła, jak to się powiada. Wbrew ustaleniom, zamek został przekazany Rejonowi Dróg Publicznych w Świebodzinie, który jak nim gospodarzy, każdy widzi. Na obietnicę spotkania z wicewojewodą czekamy już trzeci rok...

O tym, że sytuacja Łagowa nie polepszyła się w tym czasie, świadczy publikacja dziennikarzy „Gazety Lubuskiej” Andrzeja Brachmańskiego, Czesława Gierłacha i Piotra Maksymczaka, opublikowana w kwietniu br. pt. „Sposób na Łagów”. Naskwicowany tam obraz skomplikowanych problemów tworzących istny „węzeł gordyjski”, emanuje smutkiem i beznadzieją.

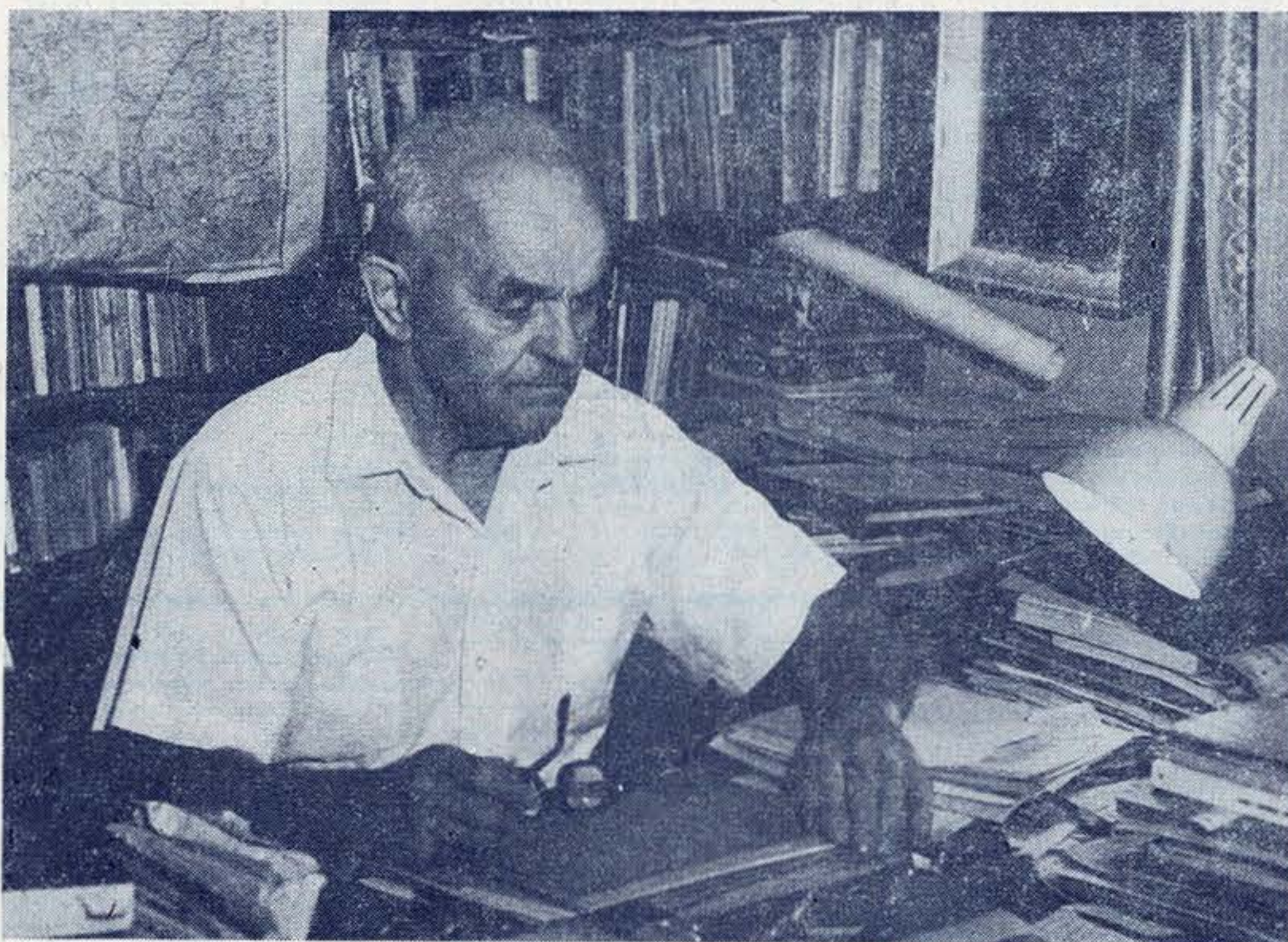
Podzielać ten smutek. I stąd proszę uprzejmie o przyjęcie mojego listu.

Z poważaniem

ZENON LUKASZEWICZ

Polityka mną się zajmuje...

Rozmowa z Władysławem Korczem — historykiem



Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

— Od czego zaczniemy rozmowę...

— Dzieciństwo, lata młodości, gdy smugę cienia mam już za sobą, wspominam z sentymentem. Mój dziadek był chłopem, ojciec — mówię to z przesadą — mieszczaninem. Ukończył trzy klasy. Jeszcze w czasach Franciszka Józefa własnoręcznie wybudował sobie domek na przedmieściu Sambora. Gdy wybuchła Niepodległa, został poborcą podatkowym w magistracie. Po prostu zbierał opłaty na targowisku. Żyliśmy na skromnej stopie, ale bez biedy. Ambicją ojca było wyprowadzić nas na ludzi. To nie było takie proste. Było nas w domu pięcioro. W tym trzech chłopaków. Przeprowadził wszystkich przez szkoły, to ponad możliwości skromnego poborcę, ale brat Jan został artystą malarzem. Dobrze zapisał się później w pamięci Gorzowa, i nie tylko tam. Ja uczęszczałem do seminarium nauczycielskiego, bo nauka odbywała się na koszt państwa. W 1932 roku zdałem maturę...

— Matura była patentem na inteligenta?

— Matura uzyskana w seminarium nauczycielskim wtedy nie otwierała drogi do dalszych studiów. Była jednak wyrazem awansu społecznego. Zobowiązywała. Należało mieć stale wyczyszczone buty, spodnie odprasowane, białą koszulę, konieczne krawaty, zaś na głowie kapelusz. Jednak świadectwo maturalne nie gwarantowało objęcia posady. Ja przez dwa lata byłem bezrobotny.

— Z czego pan żył?

— Rodzina żyła z ojcowskiej emerytury. Pomagałem w pracach domowych. Namiećnie grałem w szachy. Spacerowałem nad Dniestrem. Bardzo dużo czytałem. Była w Samborze świetna biblioteka żydowska. Liczyła dwadzieścia tysięcy tomów. Było w czym wybierać. Pisałem wypracowania na zamówienia. Potem podchorążówka we Lwowie. W 1936 pojechałem do Warszawy szukać możliwości dalszego studiowania. Takie się wtedy otworzyły. Powstała Wola Wszechnica Polska, interesująca uczelnia. Zaliczyłem dwa lata historii. Na trzeci rok już nie zdążyłem. Wybuchła wojna. 17 września wkroczyli do nas Rosjanie. Rozpocząłem bardzo trudny okres jako żołnierz bez dystynkcji. Widziałem ciała pomordowanych przez NKWD naszych rodaków. W 1941 nastąpiła zmiana okupantów. Do Sambora wešli Niemcy. Oczywiście dochodziły nas słuchy o tym, że oni wycyniali w Generalnym Gubernatorstwie, jednak w moich stronach, na początku, zachowali pozory przyzwoitego zachowania. W 1943 roku zaczęła się akowska konspiracja. Potem znów przyszli Rosjanie. W Samborze powstał teatr dramatyczny, ukraiński, z własną orkiestrą. Wystawiali nawet opery. Pracowałem tam.

— Był pan artystą?

— Ba! Nawet solistą. Spiewałem arie w „Zaporozcu za Dunajem”.

— Z sukcesem?

— Rosjanom się podobalem. Mówili o mnie z uznaniem — „maly kazaki” ze względu na wzrost. Jako artysta nie zostałem zmobilizowany do wojska. Jednak moja kariera została gwałtownie przerwana. 10 stycznia 1945 roku zostałem aresztowany jako akowiec. 24 grudnia tegoż roku spędziłem wigilię w drodze na Ural. 1947 rąbanie tajgi nad Kama, budowanie dróg. Trzy lata i dziewięć miesięcy spędziłem w różnych łagrach.

— Pisz pan o tym?

— Trzeba będzie. Jest to pewien imperatyw moralny wobec przeszłości — tych co byli ze mną i nie już nie napisz, wobec przyszłości, aby coś o nas wiedzieli.

— Kiedy pana zwolniono?

— Nastąpiło to równie niespodziewanie. 1 lipca 1948 roku zabrano z łagru, 1 września wsadzono do pociągu jadącego na zachód, 2 października byłem w Brześciu, 17-go u żony w Zielonej Górze. Konieczne chciałem ukończyć studia. Nie wiedziałem jednak, w jakiej Polsce jestem. Wędrowałem z uniwersytetu na uniwersytet — w Toruniu, Poznaniu, Wrocławiu. Tam w 1951 obroniłem pracę magisterską. Okazało się, że nie ma dla mnie miejsca w szkolnictwie. Po prostu nie chcieli mnie tam, jako człowieka z potężnym hakiem — łagrem w życiorysie. Miałem się różnych zajęć. Byłem nawet naganiaczem widowni na imprezy estradowe. W 1952 roku znalazłem posadę w wydziale kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej. I zacząłem publikować w gazecie drobne szkice na temat polskiej przeszłości Nadodrza. W konkursie na temat myśli materialistycznej ogłoszonym przez „Myśl filozoficzną” otrzymałem wyróżnienie. Poznałem profesorów Suchodolskiego i Chłasińskiego. Namawiali do napisania pracy doktorskiej. Przyznano mi stypendium PAN — 500 złotych miesięcznie. I to wystarczyło na życie we Wrocławiu. Dobrze zaprowadziła się praca doktorska została przerwana wraz z odebraniem stypendium. Po „Październiku” oferowano mi pracę w sułchowskim Liceum Pedagogicznym, gdzie pracowałem pół roku.

— Pamiętam październikowe ożywienie, dyskusje o szansach rozwoju kultury, nauki, budowie środowisk twórczych.

— Właśnie. Jednak z tych dyskusji coś wynikało: Lubuskie Towarzystwo Kultury, „Nadodrże”, znakomity teatr, książki, ofensywa plastyki, stacja naukowa Polskiego Towarzystwa Historycznego,

w której zostałem starszym asystentem. Posada ta umożliwiła mi intensywniejszą pracę naukową. Znalazłem się na swoim miejscu. Po obronie pracy doktorskiej 17 listopada 1969 roku, nareszcie wkroczyłem na tryb, którym zawsze chciałem kroczyć. Jako mediewista, jako historyk zainteresowany regionem, w Wyższej Szkole Pedagogicznej prowadziłem wykłady z historii Rosji. Uwikłani jesteśmy w różne, często niechciane sytuacje — układy polityczne, personalne konieczności, którym należy sprostać. Przez to nasze osobiste cele od dalały się, a czasem, jeśli brak konsekwencji, uporu, tego co nazywamy siłą charakteru, stają się nieosiągalne. Wiele uwikłań nie sposób uniknąć.

— Być naukowcem jest trudno?

— Właściwie zawsze i wszędzie. Przyjmijmy określenie „wieża z kości słoniowej”. Być uczonym typu gabinetowego, być może z perspektywą efektywności pracy, jest wizją pociągającą. Być może. Dla mnie jednak nieosiągalna, zbyt luksusowa. Życie, tok zdarzeń, które ono niesie, spowodowało, że moja naukowa droga wyprostowała się późno. Wyprostowała się ale nigdy nie brakowało na niej zakrętów. Zajmując się popularyzacją, odczytami w miejscach zapomnianych, dawałem swojemu temperamentowi pedagogicznemu upust. Zaspokajałem pewną oczywistą potrzebę społeczną. Jako autor pisałem o patriotycznej roli zielonogórskiego rzemiosła, o paleniu czarownic. Z profesorem Szczanieckim wydaliśmy potrzebne mi do dzieła kompendium historii regionu. Można by mi przykleić etykietę „regionalisty”, co, nie wiadomo dlaczego, jest pojęciem deprecjonującym. Przecież regionalistyką ma u nas świetne tradycje i wielkie zasługi dla całego naro-

du. A jednocześnie w tym znanym Władysławie Korczu, pół działacza społecznym, pół naukowcu, były i są znacznie szersze zainteresowania. W 1949 roku w „Wiedzy i Życiu” opublikowałem szkic „Historia i socjologia” — temat sam w sobie interdyscyplinarny. Opublikowałem też szkic w 1949 roku, gdy na socjologię zaczęło patrzeć przez okulary Józefa Stalina, jako na burzący wymysł.

— Lubi pan płynąć pod prąd?

— Nie narzekam na brak temperamentu. Lubię płynąć pod prąd. Jednak za to się płaci, choćby czasem i energią, które zamiast na utarczki, przeznaczyć można na realizację celów zasadniczych.

— Publiczność czytająca zna Władysława Korcza jako autora książki o roli pracy w filozofii polskiego Oświecenia. Dwa wydania. Firma Państwowego Wydawnictwa Naukowego. Rekomendacja prof. Szczepańskiego. To przecież sukces...

— Sukcesów tej miary powinno być więcej. Ostatnio „Sport i Turystyka” wydały zebrane przeze mnie najpiękniejsze partie szachowe Akiby Rubinsteina z moimi komentarzami. Liczę na dobre przyjęcie tej książki w środowisku szachowym.

— Wdarł się pan do ekskluzywnego, pilnie strzeżonego swoich interesów, gro na teoretyków szachowych.

— Nie ukrywam. Ta książka miała swoją przegrodę. Ale się ukazała. Piszę następą. Wybór i analiza najpiękniejszych partii Tartakowera. Też wybitnego, prawie zapomnianego, polskiego szachisty.

— Właśnie. Szachy, turystyka — przecież był pan pionierem, odkrywcą i pagatorem kajakowego szlaku wodnego od Sławy do Santoka i Gorzowa, muzyka, zgodnie z tradycją zawodu nauczycielskiego udzielił pan swego głosu chórowi akademickiemu. Ten rozrzut zainteresowań jest ogromny.

— Dodabym jeszcze bibliofilstwo. Mam pięć tysięcy tomów, wśród nich kilka tytułów rzadkich.

— Ambicje polityczne?

— Próba startu w wyborach po mandat senatora była epizodem. Specjalnie polityką się nie interesuję. To polityka zajmuje się mną. Jednak te moje zainteresowania, o których mówimy, świadczą o jednym, że zawsze starałem się być człowiekiem bogatym. Przynajmniej w sensie duchowym, bo bogactwo określone sumą na koncie bankowym jest po za granicą możliwości. Zajmuję tu pozycję parterową.

— Panie Władysławie, a ja jednak po dejrzwam pana o amatorswo.

— O, nie! Myli się pan, długie lata zbiegły mi na wytrwale do dziś zresztą trwających studiach, zgodnie ze znaną wszystkim pracownikom nauki ideą, że uczyć się trzeba stale, by w pewnym momencie stwierdzić, jak wiele się jeszcze nie wie. Stąd zadaje sobie na przykład pytanie, dlaczego nie zostałem profesorem, choć nie przywiązuję wagi do tytułów naukowych i dlaczego w siłę wieku, zdrow, przeszedłem na emeryturę?

— Dlaczego?

— Stosunki wśród ludzi nauki nie są wzorowe. Przerząż brutalizm, interesowność, schamienie. Jest to jedna z konsekwencji pauperyzacji tej grupy społecznej. W dzungli moralnej wszystko jest możliwe. Tuż po obronie pracy habilitacyjnej u prof. Topolskiego musiałem pójść na przymusową emeryturę. Wykorzystałem okoliczność — stan wojenny. Przed gorszymi konsekwencjami ochronili mnie prof. Szczegółka i Dąbrowski.

— Który?

— Ówczesny pierwszy sekretarz KW PZPR. Mam plany. Chcę je zrealizować. Myślę, że tytuł profesorski, to mi się po prostu należy — choć jako historyk wiem, że historia na ogół nie bywa sprawiedliwa. Jako racjonalista tak twierdząc. Przez całe swoje burzliwe życie nigdy nie rozpatrywałem rzeczywistości z perspektywy metafizyki. To mnie nigdy nie nęciło. Wyznałem ideologię pracy jako podstawowy czynnik iluminacji świata.

— Co pana niepokoi?

— Podstawowy kłopot, mógłbym tak powiedzieć, to ja sam i moje dylematy. A tak na prawdę, niepokoi mnie stan gospodarki kraju, stan umysłów. Jako obywatel jestem pełen niepokojów o przyszłość kraju. Nie widzę dziś żadnej recepty.

— I w tym jest cały Korcz, sprzeczny i chyba jednak dychotomiczny

— Jak my wszyscy.

— Zatem dziękuję za rozmowę.

RYSZARD ROWIŃSKI

„Czerwona kapela” była największą, najsilniejszą i najbardziej efektywną siatką wywiadowczą, działającą w czasie II wojny światowej w Niemczech i niemal w całej okupowanej Europie.

Taka jest opinia znanego francuskiego historyka i pisarza Julia Pierrot, autora książki poświęconej grupie radzieckich wywiadców oraz patriotów — antyfaszystów wielu krajów Zachodniej Europy.

Na pytanie dziennikarza, czy to nie przesada, historyk ten odpowiada: — Skądże, niech pan weźmie pod uwagę choćby wypowiedź samego Conarisa, szefa Abwehry, kontrwywiadu III Rzeszy. Oto ona: „Czerwona kapela” kosztowała Niemcy tyle, ile utrata 200 tysięcy frontowych żołnierzy. Dla jej likwidacji Berlin utworzył specjalną komórkę kontrwywiadu, która podporządkowana była samemu fűhrerowi.

Nazwę „Czerwona kapela” wspomina na grupie wywiadowczych otrzymała od

rzających w rewolucję. A jednak wbrew wszystkiemu, wbrew naszym rozterkom i obawom, wbrew temu, że Związek Radziecki przestał być tym krajem socjalizmu, o którym marzyliśmy, należało go mimo wszystko bronić. Bronić dlatego, bo w nim widzieliśmy główną siłę, która pokona ludobójczy faszyzm hitlerowski, zagrażający wszystkim narodom Europy.

Z drugiej strony przyjąłem propozycję Berzina również dlatego, że pozwalała mi ona z czystym sumieniem zapewnić sobie bezpieczeństwo. Obywatel polski, Żyd, człowiek pozbawiony ojczyzny — z tego punktu widzenia, jeśli zostaną w ZSRR, to dalszy mój los zakończyć się może jedynie w celi więziennej, w obozie czy też po prostu rozstrzelaniem — tak jak to spotkało tylu innych”.

Trepper przedstawił Berzinowi plan organizacji siatki wywiadowczej obejmującej Niemcy i inne kraje Europy Zachodniej. Utworzone tam nieduże grupy szpiegowskie miały być uruchomione

„Czerwona Kapela” gra

(3)

Dramat wielkiego szefa

polujących na nią funkcjonariuszy Abwehry, himmlerowskiej służby bezpieczeństwa. Namierzywszy na aparatach pelengacyjnych kilka radiostacji nadających do Moskwy, doszli oni do wniosku, że mają do czynienia ze zorganizowaną i podlegającą jednemu, ośrodkowi dyspozycyjnemu rosyjską siatką wywiadowczą. W profesjonalnym żargonie szpiegowskim radiotelegrafistów nazywają się „pianistami”, więc całą siatkę określono mianem „Czerwonej kapeli”, a jej dyrygenta „wielkim szefem”. Kim więc był ten legendarny szef najsprawniejszej w dziejach organizacji wywiadowczej?

Pisałem już o tym, że urodził się w Polsce, w Nowym Targu, ale już od 1932 roku przebywał w Moskwie, jako student Szkoły Kominternu imienia Juliana Marchlewskiego. W 1936 roku — jako wybitnie uzdolniony zostaje powołany do pracy w wywiadzie radzieckim.

Szefem tego wywiadu był wówczas Jan Berzin, niezwykle utalentowany, prawy i szlachetny człowiek. Nadchodziły jednak czasy straszliwych, stalinowskich czystek. Berzin, który był wojskowym doradcą Armii Republikańskiej podczas wojny domowej w Hiszpanii, zo stał w 1937 roku odwołany do kraju. Przeczuwał, że fala represji, która dotknęła już wielu jego towarzyszy, zbliża się również do niego.

Szczególnym wstrząsem dla Berzina jako wysokiego oficera Armii Czerwonej były czystki, które dotknęły kadre dowódców armii. Ogółem — ponad połowa całej kadry oficerskiej została w latach 1937—1939 zgładzona lub uwięziona. Gruntownej czystce poddano też ministerstwo obrony, sztab generalny oraz akademie wojskowe.

Represje nie ominęły również najbar dziej zasłużonych i oddanych sprawie oficerów wywiadu i kontrwywiadu radzieckiego. Mimo tych wstrząsających informacji Berzin wraca do Moskwy, między innymi po to, aby złożyć zażalenie na postępowanie agentów NKWD w hiszpańskich brygadach międzynarodowych. Z ich ręki padło tam wielu wiernych swym ideałom bojowników. Zresztą ci spośród żołnierzy Armii Republikańskiej, którzy znaleźli się po hiszpańskiej wojnie domowej na terytorium ZSRR, zostali także poddani bezlitosnym stalinowskim represjom.

O całym tym okresie sam Trepper pisze w swych wspomnieniach następująco:

„Po pierwszej rozmowie z Berzinem myśli o przejściu do wywiadu i walce w jego szeregach głęboko zapadła w moją świadomość. Nie miałem wątpliwości, że zbliża się moment, kiedy hordy hitlerowskie zaleją kraje Europy. Było dla mnie sprawą jasną, że w nadchodzącej walce Związek Radziecki odegra rolę decydującą. Moje serce rozrywało się na widok wypaczonej rewolucji, której wraz z milionami innych komunistów oddawałem wszystko, co mogłem. Jeśli jednak droga ułana została tysiącami niewinnych ofiar, to nie prowadzi ona i nie może prowadzić do socjalizmu. Nasi towarzysze znikali, napłeli z nas umierali w kazamatach NKWD. Reżim stalinowski wypaczył socjalizm tak bardzo, że nie można go było poznać. Stalin — ten wielki grabarz — zlikwidował więcej komunistów niż Hitler...”

Miedzy hitlerowskim młotem i stalinowskim kowadłem przebiegała wązka ścieżka dla nas — wciąż jeszcze wie-

natychmiast po rozpadnięciu przez III Rzeszę wojny w Europie. Uważał, że w przejściowym okresie przygotowawczym należy umocnić się przede wszystkim w krajach skandynawskich i tam zabezpieczyć niezawodną ochronę łączności z centralą wojskowej służby wywiadowczej Armii Czerwonej.

Natomiast już w czasie wojny zamierzał skompletować siatkę agenturalną z ludzi reprezentujących różne kierunki polityczne, których powinna wyróżniać wytrzymałość wszelkie próby ideowości, posiadanie lub możliwość nawiązania kontaktów z przedstawicielami kół mających decydujący wpływ na przebieg operacji wojennych. Miał tu przede wszystkim na myśli niemieckie dowództwo wojskowe oraz instytucje polityczne i gospodarcze o szczególnym znaczeniu. Zadanie to, jak wiemy z poprzednich odcinków, wykonał w sposób perfekcyjny.

W każdym z krajów, w którym Trepper instalował swoją siatkę, jej kierownictwo stanowiły zawsze trzy osoby. Pierwszy był szefem, drugi technikiem — łącznościowcem, potrafiącym uruchomić sieć nadajników radiowych i potem je obsługiwać, wreszcie trzeci — specjalista z zakresu wojskowości, który selekcjonował na miejscu otrzymane informacje. Co do swojej osoby Trepper za proponował, że utworzy w Brukseli firmę eksportowo-importową z filiami w kilku krajach, które będą legalną osłoną jego wywiadowczej działalności.

Relacjonując rozmowę z Berzinem, Trepper stwierdza, że wyczuł głębokie zaskoczenie w głosie szefa wywiadu radzieckiego. Wynikało ono zapewne — jak sobie później uświadomił — z tego, że poważna część wykwalifikowanych kadr predysponowanych do wykonania tych niełatwych zadań, została już aresztowana i wydana w ręce oficerów śledczych NKWD.

Ustalono również, że rodzina Treppera przyjedzie w ślad za nim do Paryża. Miało to między innymi służyć lepszemu za kamuflowaniu jego rzeczywistej działalności (samotny mężczyzna jest zawsze bardziej podejrzany). Zna Treppera z młodszym synem wyjeżdża w 1938 roku do Francji. Starszy pozostaje w charakterze zakladnika w Moskwie. W rozmowie z dziennikarzem wspomina ona tamten okres. Krótko przed wyjazdem została wezwana do NKWD. Przez 12 godzin trwały przesłuchania. Chodziło o to, by zeznawała przeciwko swoim przyjaciółom. Odmówiła stanowczo.

Rachunek, który wystawił stalinizm jej mężowi, był rzeczywście niewiarygodny. Za swoje wybitne zasługi, za to, że zorganizował dla Związku Radzieckiego go w tak trudnym dla niego okresie naj sprawniejszą służbę wywiadowczą świata, został po powrocie do Moskwy w 45 r. natychmiast aresztowany i osadzony w siedzibie KGB — słynnej Łubiance. Wyrok brzmiał: 15 lat!

Zaczyna się gehenna wieloletniego po bytu w stalinowskich więzieniach i obozach. Dopiero po śmierci Stalina w okresie odwilży Trepper wychodzi na wolność. Wyjeżdża do swojej ojczyzny — Polski — stąd do Danii, gdzie zmarł.

Wspomnienia jego ukazały się w 17 językach, wydane w 15 krajach. Legendą jego została opisana w wielu książkach, z których najsłynniejszą jest wspomniana już „Czerwona kapela” pióra wybitnego dokumentalisty francuskiego Julia Pierrot.

MICHAŁ HOROWICZ

Twarzą ku Odrze

Ciąg dalszy ze str. 1

większej nekropolii Piaśni, spoczywa 45 książąt najdłuższego rodu do końca pielegnącego królewskie ambicje.

W Nowej Soli kilkanaście XVIII-wiecznych spichlerzy solnych. Jakaś grata dla muzealników, których uwagę przyciąga zwłaszcza jeden stojący przy porcie z zachowanym wewnątrz kołosalnym kołowrotem drewnianym. Ten spichlerz dziś służy jako zwykły magazyn. Sporządzono opis, wysunięto propozycje, obejmujące uporządkowanie nabrzeża i przeznaczenie spichlerza na kawiarnię z ekspozycją muzealną.

W wykonanym na szlaku katalogu znalazło się ok. stu obiektów. Powstało na ich temat 12 prac dyplomowych, które następnie przesłane zostaną do zainteresowanych władz do ewentualnego wykorzystania. 150 rysunków adekwatnie do architektury złożyło się na album. Na setkach slajdów zdokumentowano obecny stan zabytków techniki, związków z Odrą. Oto w skrócie plan rejsu studyjnego, który ponadto poprzez liczne spotkania z władzami miast i województw oraz różnorodnymi środowiskami zawodowymi ukonykretniał realizację kolejnych placówek Muzeum Odry.

„A więc niech będzie muzeum Odry — pisał w „Perspektywach” (18.05.1986), w odpowiedzi na artykuł pomysłodawcy tej idei red. Jerzego Kołtuniaka z katowickiej Rozgłośni Polskiego Radia, prof. Piotr Zaremba, członek rzeczywisty PAN — nie tylko jako przytulisko historycznych wspomnień, ale jako naukowa placówka rejestrująca wszelkie myśli i pomysły dotyczące roli tej rzeki dla Polski, pokazująca wykorzystane a zwłaszcza te jeszcze nie wykorzystane potencjalne możliwości, zawsze istniejące i niespełnione w naszym gospodarce wciąż jeszcze nie rozwiazane...”

Sposób realizowania idei muzeum, budując swoistą świadomość odrzańską na szlaku rzeki i nie tylko tu, gdyż sprawa Odry jest sprawą narodową o wymiarach historycznych i gospodarczych, tej właśnie potrzebie służy.

Płynęliśmy rzeką zanieczyszczoną po nad miarę. Lata rozwoju przemysłowego bez zwracania większej uwagi na aspekt ekologiczny spowodowały, że wody Odry są już beżklasowe, zatrute od samych źródeł i górnego biegu, znajdujących się w Czechosłowacji a także przez dopływ w Polsce i NRD. Zgodnie z opiniami fachowców spotykanych na trasie, odnowę trzeba zacząć

Ciąg dalszy ze str. 1

Godzina 13.00. W „Hermesie” trzy równoległe ogony: do wódki, do piwa i do działu spożywczego. Czwarty ogon, krótszy, ciągnie się do stoiska, gdzie do wczoraj sprzedawano mięso na kartki. A dziś — hulaj duszo i hulaj ceno! Zera w szeregach tylko migają, po dwa i trzy.

Podobnie vis a vis w stoisku wędliniarskim. Kielbasa średnio 2.700—5.700 zł za kilogram. Smałek, który wczoraj reglamentowano po cztery kostki na gio

wę, dziś jest bez ograniczenia, w cenie 175 zł za kawałek. Kurczaki wczoraj wykupywane tak pazerne, leżą w niezmiennym cenie, podobnie, jak indyckie nogi i grzbiety.

Ogon do spożywczego zalamuje się, czując ludzi odchodzących. Podobno było coś atrakcyjnego (olej, cukier, żółty ser?) i już się skończyło. Koniec kolejki twierdzi, że to nie był cukier, tylko mąka ustawiona tam, gdzie zwykle stały torby z cukrem...

Mąka też się kończy. Sól także. Ekspedientka waży ostatni kawałek „białego sera”. Wkrótce zostaną tylko słodycze, chleb, mleko, to, co w słoikach oraz mrożonki: szpinak, ziemniaki pokrojone na frytki, fasolka, coś nieokreślone o nazwie „forsmak” i lody.

— Za wcześniej się do tego zabrałaś — mówi kolega w redakcji — odczekaj kilka dni!

Odczekuj.

od jej dopływów, od kopalń górnosłaskich, skąd niesie sól, od budowy oczyszczalni mechanicznych i biologicznych, które powstają już we Wrocławiu i w Głogowie. We wrocławskim Ratuszu trzej premierzy podpisali ostatnio umowę o współpracy ekologicznej — pierwszy krok został więc uczyniony.

Płynęliśmy rzeką, która zwłaszcza w dolnym biegu pokazuje, że jednak nie jest zupełnie stracona. W jej starorzeczach, zakolach i na brzegach gnieździ się mnóstwo ptactwa wodnego — dzikie kaczki, kormorany, słonki, czaple, labędzie. Przyroda doliny Odry jeszcze się od niej nie odwróciła. Mają tu swoje legi ptaki przylatujące do rezerwatu w Słońsku z całej Europy.

A nasza gospodarka, czy wiąże się ona z tak wielką i tradycyjną arterią wodną, która od prapokreów była źródłem bogactwa powstających nad jej brzegami miast i stanowiła zarazem ważny szlak wodny dla środkowej Europy?

Z inż. Marianem Szwarem, który od ponad trzydziestu lat pływa po Odrze, a pływał też po Wiśle i Renie, i wychował prawie wszystkich kapitanów i prawie wszystkich żegluzi na Odrze, patrzyliśmy z pokładu w pustą perspektywę rzeki, a jest ona pusta przez dziesiątki kilometrów, i pytaliśmy: co się stało?

— W latach 50, 60 a także 70-tych na Odrze panował duży ruch — mówi inż. Szware. — W dół rzeki płynęły barki z węglem, w górę z rudą. Przewoży na Odrze przekraczały 15 mln ton. Dziś — 1 milion. Eksploatacja, zwłaszcza po wprowadzeniu tzw. zestawów pchanych, nie poparta należytą konserwacją i rozbudową następnego służ w środkowym i dolnym biegu rzeki oraz kolejnych zbiorników wodnych zrobiła swoje: skrócił się czas żeglugi. Odra stała się niepewnym przewoźnikiem. Przy niskich stanach wody barki szorują o dno, przy wysokich z trudem przechodzą pod niezliczonymi mostami i wiaduktami. Zestawiała się flota, większość barek i pchaczy ma ponad 20 lat. Kryzys gospodarczy wpłynął też na zmniejszenie ładunków. Toteż towary masowe przewozi się głównie koleją, choć jest to transport droższy.

Czego więc trzeba Odrze? Dalszej regulacji, wybudowania stopnia wodnego w Malczewie, budowania zbiorników wodnych dla utrzymania optymalnego stanu wody. A więc inwestycji. Inwestycje jednak przerazają w naszej obecnej sytuacji gospodarczej. Doc. Stanisław Orlewicz z Politechniki Szczecińskiej przypomina wszakże powódź z 1977 r., która przyniosła tyle szkód, ile

akurat wyniosłby koszt dalszej regulacji rzeki.

Gospodarcze wykorzystanie Odry pozostaje więc nadal sprawą otwartą, choć jest to rzeka w urzeczywistnienie do Wisły już dobrze ucywilizowana, skanalizowana na wielu dziesiątkach kilometrów aż do Brzegu, i prawie gotowa do spełniania roli wielkiej arterii wodnej. Inż. Szware zarejestrował na wideo żeglugę na Renie i w Kanale Alberta. Są to wręcz zaloczone szlaki wodne, dowodzące, że rola rzek wcale się nie skończyła!

— Parę inwestycji — wzdycha inż. Szware — i mielibyśmy na Odrze drugi Ren. Świetnie wyszkolona kadra żeglugi śródlądowej czeka na moment, by chwycić za stery.

Toteż nie pora jeszcze, by zalamywać ręce nad pustą i głuchą Odrą, nad portami, z których wieje teraz martwość. Tym bardziej, że oto pojawia się w perspektywie szansa ożywienia przez powstanie stref wolnocłowych w portach w Gliwicach, w Kędzierzynie-Koźlu, we Wrocławiu i w Szczecinie, a dla zawsze miały i mają przemocy wpływ na rozwój lub stagnację w handlu. W perspektywie światła optymizmu. Trzeba go łączyć również z postawą ludzi spotykanych na trasie, którzy często powtarzali, że historia jest sprawiedliwa dla silnych, niesprawiedliwa dla słabych. Historia była dla nas sprawiedliwa w 1945 r. Aby ją wygrać, trzeba się umacniać gospodarczo i ekonomicznie. Odra może w tym odegrać swoją rolę.

Konsekwentnie realizowana idea Muzeum Odry, znajdując tak wielu przyjaciół i zwolenników wywołała ruch intelektualny i społeczny wokół rzeki, od ludzi nauki i władz miast oraz województw począwszy, po lokalne społeczności. Miasta nadodrzańskie mają wiele wspólnych spraw i problemów, istnieje potrzeba wymiany doświadczeń, koordynowania różnorodnych badań i poczynań.

— Stwórzmy związek miast nadodrzańskich! — powiedział na kończącej rejs konferencji naukowej w Szczecinie red. Jerzy Kołtuniak. Hasło to zostało podchwyczone; przyjmie niebawem formy organizacyjne, zapowiadając powstanie swojego lobby odrzańskiego, w którym coraz więcej, obok historyków, muzealników i historyków sztuki mogą i powinni mieć do powiedzenia ekolodzy, żeglarze, inżynierowie i inni różni specjaliści, którym droga jest myśl, by Odra lepiej służyła krajowi i ludziom. Jest wiele spraw do rozwiązania w Rzeczypospolitej, sprawa Odry również do nich należy.

EWA WANECKA

W poniedziałek 7 sierpnia wczesnym ranem budzi mnie głos Krystyny Zielińskiej, która opowiada o kawałku szklanej naczynia w kielbasie. Potem jakiś profesor z Ontario, Polak, dowodzi zza Oceanu, że „urynkowanie”, aczkolwiek będące dla gospodarki polskiej jedynym ratunkiem, zostało wprowadzone niekompetentnie i bez przygotowania. Już wychodzę, gdy spiker przytacza tytuł z pierwszej strony „Dziennika Ludowego”: „Nic za złotych...”

Runda po sklepach. W „Zubrze” faktycznie, remont. W „Dziwiątku” poza

zaplanować. Życie z dnia na dzień staje się coraz bardziej rozregulowane. Wszyscy nerwowi, niepewni. Patrzą na te ceny i włos mi się jeży. Co będzie, gdy mi się popsuje telewizor? Nowego już chyba nigdy nie kupię!

Danka jest ekonomistką i pracuje w dwóch miejscach: w jednym za 88 tys. zł, w drugim za 34 tys. zł. Mąż przynosi około 150 tys. zł. Dla trzyosobowej rodziny, w porównaniu z tymi najbiedniejszymi, to prawie luksus. Ale w zestawieniu z poborami niektórych dyrektów, sięgającymi pół miliona i wręcz legendarnymi zarobkami prywatierzy...

Pejzaż bez kartek

chlebem, dżemem i chrupkami, nie ma prawie nic. „Hermes” w poniedziałkowe przedpołudnie jest nieczynny.

Spotykam dwie znajome. Pani Mira z emerytury 39 tys. zł utrzymuje siebie i psa. Dziś jest wyjątkowo smutna.

— Czasem myślę: dlaczego wcześniej nie przyszła do mnie śmierć godna? Nie musiałabym teraz żyć w tej hańbie. Wstydzi się biedy. Nigdy nie byłam taką nędzarką, ani ja, ani nikt z mojej rodziny...

Zjada jedno jajko, tygodniowo. Trochę mięsa tylko w niedzielę. Żadnych wędlin. Nic „ekstra”. Kluski, leniwe pierogi, kapuśniak z chlebem, ziemniaki z plasterkiem pomidora, dżem, margaryna. Do kina — nigdy, wyjątek zrobiła dla „Ostatniego cesarza”. Wysłużył telewizor, stara pralka, chłodziarka i odkurzacz, który ledwie dycha — wszystko to pamięta wczesne lata 70-te. — Męczy mnie ta huśtawka — mówi Danusia, lat 40. — Nie nie można

Gdy wszystko mi zbrzydnie, wsiedam do autobusu nr 28 i jadę na działkę. Tam, w kontakcie z przyrodą, potwierdzam zwycięstwo ducha nad materią. I sposobie się do przejścia na... wegetarianizm. Myślę, że wszyscy dziennikarze zostaną w końcu roślinożercami, jeśli nie zatroszczy się o nich pani matka — RSW „Prasa”...

W drodze powrotnej czekam przez chwilę na przystanku autobusowym w Świdnicy. Wolnym krokiem podchodzi kierowniczka odległego o kilka metrów sklepu spożywczego GS. Po całym dniu pracy.

— Zeby z piekła nie wyjrzał ten, co wymyślił handel — mówi, siadając ciężko na ławce.

Ludzie kiwają głowami ze zrozumieniem. Podjeżdża autobus. Dzięki Bogu, w PKM jeszcze nie strajkują.

HALINA AŃSKA

Milionerzy sportowi

Pierwsze miejsce zajmuje bokser Marvin Hagler, który na sporcie zarobił 65 mln dolarów. Tuż za nim plasuje się, również bokser Sugar Ray Leonard ze swymi zdobytymi na ringu 42 milionami dolarów. Na trzeciej pozycji widzimy tenisistę Johna McEnroe: 38 mln dolarów. Miejsca czwarte i piąte także należą do tenisistów: Ivanowi Lendlowi — 27 mln dolarów i Martinie Navratilovej — 22 mln dolarów. „Berliner Zeitung” zastrzega, że obliczenia te mogą być nieścisłe, a ich aktualność zmienia się niemal co dnia. Wszakże podane sumy dotyczą wyłącznie pieniędzy zarobionych przez gwiazdy sportu na ringu i kortach. Natomiast nie określają całego stanu posiadania sportowych milionerów.

... i filmowi

Informacje o wielomilionowych zarobkach gwiazd podaje na bieżąco „New York Times”. Okazuje się, że z pierwszego miejsca od paru lat nie ustępuje Sylvester Stallone, który za udział w filmie „Over The Top” otrzymał 12 mln dolarów. Za nim plasuje się Clint Eastwood ze swymi siedmioma milionami za „Pale Rider”. Sześciomilionowe honoraria zainkasowali i znaleźli się na miejscu trzecim: Robert Redford za „Pożegnanie z Afryką”, Warren Beatty za „Ishtar” i Dustin Hoffman za „Śmierć komiwojżera”. Na dalszych miejscach kolejno: Burt Reynolds, Eddy Murphy i Barbra Streisand oraz Paul Newman i Harrison Ford.

Zarłoki

Fawie trzy miliony ton cukru i niemal tyle samo maki produkuje się rocznie w RFN. Piekarnie wypiekają tam w ciągu roku blisko dwa miliony ton chleba, a z rzeźni i masarni trafia na rynek półtora miliona ton rozmaitych mięs i wędlin, w tym również dziczyzny i drobiu. Około trzysta gatunków składa się na roczną ilość prawie miliona ton produkowanego sera. Ponadto w RFN produkuje się rocznie 725 tysięcy ton proszku mlecznego oraz 600 tysięcy ton mleka skondensowanego i śmietany w kilku gatunkach. Ilość wytwarzanej margaryny sięga pół miliona ton. Na deser Niemcy w RFN zjadają w ciągu roku 400 tysięcy przeróżnych ciast, tortów i ciastek oraz schrupują bądź wypijają prawie pół miliona ton czekolady. Republika Federalna Niemiec liczy około 60 mln mieszkańców; chyba nie wszyscy są żarłokami?

Przy kuflu piwa

Największymi piwoszami w Europie są mieszkańcy RFN: w kraju tym spożycie piwa wynosi 146 litrów na głowę w ciągu roku. Niemal dorównują im mieszkańcy NRD, z których każdy wypija rocznie 142 litry piwa. Dopiero trzecie miejsce zajmują Czechosłowacy: 131 litrów na głowę. Niezgorzyszy piwoszami są Duńczycy i Belgijczycy, wypijający rocznie 121 litrów piwa na głowę. Duże spożycie piwa jest w małym Luxemburgu: 120 litrów na każdego mieszkańca. W pierwszej dziesiątce amatorów piwa znajdują się także Austriacy, Anglicy i Irlandczycy, oraz na końcu Węgrzy, którzy ponoć coraz bardziej dbają o swe uprawy chmielu oraz o jakość produkowanego z nich napoju.

Co jest w modzie na Zachodzie?

- ☆ Stare gwiazdy filmowe: „Marlena Dietrich i Greta Garbo miały styl, pozostaną niepowtarzalne”.
- ☆ Gimnastyka codzienna: „Tylko dzięki systematycznym ćwiczeniom ciała można utrzymać się w formie!”
- ☆ Piekniki: „Chleb, ogórek, pomidor, kawałek sera, czerwone wino i placek drożdżowy z owocami, na łonie natury, w sympatycznym gronie”.
- ☆ Nie mieć telefonu: „Ten uciążliwy wynalazek sprawia, że będąc poza domem denerwujemy się, czy aby ktoś dla nas ważny nie zadzwonił przypadkiem i nie rozczarował nas. Ponadto nie mając telefonu, łatwiej się ukryć...”
- ☆ Rytm latynoskie: „Mambo z „Wirującego seksu” i „Salsa” wykonana w filmie przez świetnego portorykańskiego tancerza Robby'ego Rosse, to jest „to”, wszyscy szaleją, do łask powraca nawet stara samba!”
- ☆ Pomalowane usta: „Kobieta jest jak prezent w opakowaniu — mówi Jean Paul Belmondo — a jej pomalowane wargi są miejscem, od którego zaczynamy prezent rozpakowywać...”
- ☆ Dla porównania — co jest niemodne?
 - ☆ Elektryczne zegarki: „Wyglądają tandetnie, jak reprodukcja wielkiego dzieła sztuki! W dzisiejszym skomputeryzowanym świecie nastąpił powrót do tradycyjnego czasomierza, konieczność jest wskazówkami.”
 - ☆ Starzejące się gwiazdy rocka: „Ich songi są nieśmiertelne! Ich muzyka, to muzyka naszego stulecia? Zgoda. Ale pora zająć się wnukami!”
 - ☆ Plastikowa biżuteria: „Precz z plastikami! Nosimy metale szlachetne — złoto, srebro i platynę, albo mosiądz lub skórę!”
 - ☆ Joga: „Podobno powoduje choroby psychiczne! Bo jeśli metoda odnowy się udaje, wówczas człowiek wszystkie problemy świata ma na głowie!”
 - ☆ Dolar: „Można za niego kupić wszystko i wszędzie, więc zastanówcie się, czy to nie jest nudne?”
 - ☆ Długie, czerwone paznokcie: „Zbyt agresywne. Dla mężczyzn stanowią sygnał — stop!”
 - ☆ Obżeranie się mięsem: „Mięso, to cholesterol, sól, ciężkostrawność, agresja, zwierzęta roślinożerne są łagodniejsze od mięsożernych, opychanie się mięsem i tłuszczami świadczy o braku kultury...”

Krótkie platynowe włosy zaczesane do tyłu. Usta wilgotne i czerwone. Nogi długie jak wieczność. Odświeżony biust koloru miodu. Umalowana, ufarbowana, wystrzyżona, nadmuhaną. Wygląda jak piękny transwestyta lub androidek...”

Tak Dunke Brigitte Nielsen opisuje amerykański magazyn „Vanity Fair”. Brigitte nie należy do gwiazd, które milczą i chowają się przed publicznością, by powoli stawać się pełną tajemnicą legendą. Przeciwnie. Ex-zona Sylwestra Stallone chętnie wyjawia bardzo osobiste szczegóły. Exhibicjonizm?

Pewnego razu sławny austriacki popstar Falco, gdy przybył do studia na nagranie „Body Next To Body” w duecie z Brigitte, zapytał pół żartem swą partnerkę?

— Czy twój biust jest taki, jakim stworzył go Pan Bóg?

— Jasne, że nie — roześmiała się Brigitte. — Po urodzeniu dziecka prześladam się o siebie, więc poddałam się operacji. Faktycznie, chirurg może trochę przesadził. Ale mnie to nie przeszkadza...

Kiedy w Hamburgu złodzieje weszli do jej pokoju hotelowego i zabrali wszystko, co było do zabrania, prasa wrzała:

„Brigitte Nielsen stwierdziła brak ze garka Cartiera, złotej biżuterii Bulgari, strojów ze skóry oraz... majtek!...”

Ciekawe, że na miejscu przestępstwa nie było śladów włamania, ani żadnej przemocy.

Podobna historia zdarzyła się kilka miesięcy później w hotelu „Aldobrandi” w Rzymie. Brigitte znów trafiła na pierwsze strony gazet, a policja daremnie szukała śladów złodziei.

Silikonowy cud

Dzięki prasie i telewizji wiadomo, że Brigitte znowu ma wysyłając mu uparcie swe zdjęcia i pisząc płomienne listy. Sławny już i bogaty, lecz prostoduszny i naiwny Stallone wkrótce poprosił ją o rękę. Także gdyby nie gazety i TV nie wiedzieliby nikt, że w krótkim czasie trwania tego małżeństwa, Brigitte przepuściła milion dolarów z włosko-amerykańskiej kasy małżonka.

Te same gazety, które wylansowały piękną Dunke, później nie przepuściły jej, że przeklina swoją teściową. Ostre nieporozumienie między tymi dwoma zaczęło się od momentu, gdy signora

Stallone, pobożna jak wszystkie Włoszki, złapała synową z jej sekretarką — rudowłosą Kelly Sahnger na pieśczeniach w łóżku. Dla Sylwestra stało się to bezpośrednim powodem do wystąpienia o rozwód, który kosztował go dziewięć milionów dolarów.

Wszystkie skandale prywatne Brigitte przyczyniają się do jej popularności.

— Sława nie jest moim celem, lecz środkiem do osiągnięcia celu — wyznała.

„To chodzący byznes” — komentuje prasa postępowanie Nielsen. „Jest wypracowana, chłodna, konkretna. Z determinacją wystawia na pokaz siebie i swoją sztuczność. Bez mrugnięcia okiem, świadomie obnaża swe monstrualne „nie”. Czymże jest — ze swym pompownym biustem i starannie rozmasowanymi bliznami po licznych operacjach plastycznych, oraz z głową, w której poza chęcią zrobienia kariery, jest pusto?”

Niektórzy mówią o niej, że pochodzi z innej planety. Ta „planeta” są lata 80-te, zaś rolę kosmicznej rakiety pełnią mass-media. Brigitte Nielsen, to silikonowa lalka Żywy robot wyprodukowany przez dziennikarzy wciąż poszukujących syntetycznego bohatera na tych czasach.

Powiedz mi jak śpisz

Podobno istnieje ścisła zależność między charakterem i mentalnością człowieka oraz jego codziennym sposobem życia, a pozycją w jakiej śpią oraz głębokością jego snu. Ludzie pewni siebie i posiadający równowagę psychiczną śpią spokojnie, rzadko zmieniając pozycję i po kilkugodzinnym, głębokim śnie budzą rześcy i wypoczęci. Osoby chwiejne, z kompleksami i zastrzeżeniami do siebie, śpią niespokojnie, budzą się w nocy, przewracając z boku na bok, miewają dreszcze. Nerwowi, ambitni, dążący do celu z przeszkodami, konfliktami i bojaźliwi, często pocą się we śnie. Emocjonalni śpią niespokojnie, niekiedy mówią lub krzyczą przez sen. Ludzie zadowoleni z siebie, unikający na co dzień konfliktów i zawsze chętni do kompromisu, także we śnie są szczęśliwi i spokojni.

Człowiek uparty i wytrwały lubi układać się do snu w pozycji przypominającej żabę: na brzuchu, z podniesionymi do góry ramię. Nieśmiały i bojaźliwy przybiera pozycję embriona: na boku, podkurczone nogi, głowa pochylona ku kolanom. Ludzie pełni energii śpią zazwyczaj na wznak, rozkładając się szeroko.

Decydujący wpływ na to, jaki jest nasz sen, czy daje nam wypoczynek i przyczynia się do utrzymania dobrego zdrowia, mają czynniki zależne tylko od nas samych. Bardzo negatywnie działa alkohol i obfita kolacja. Sen nigdy nie będzie zdrowy i głęboki w pomieszczeniu dusznym, pełnym gęstych zapachów — jakiegokolwiek by one nie były, nawet przyjemne. Są osoby, które źle śpią w każdym innym łóżku, poza własnym. Negatywnie działa strój, jaki przyodziewamy na noc, np. obcisłe slipy — w którym mają zwyczaj spać niektórzy panowie czy skąpe, nylonowe stroiki pań.

Powodem budzenia się może być zarówno gorąco, jak i chłód. Ciało podczas snu potrzebuje dość wysokiej temperatury: 32 stopni C na zewnętrznej powierzchni skóry. Nie jest więc najlepiej kłaść się spać nago, z gołymi ramionami lub całkiem bez przykrycia, jak to czynią niektórzy upalnym latem. Należy dobrze przewietrzyć pokój, aż zapanuje w nim miły chłód. Strój nocny powinien być lekki, z naturalnych włókien, osłaniający całe ciało. Poduszka „zbita” i wytrzępana. Przykrycie — kołdra lub koc, lekkie, duże, przyjemne w dotyk.

Amerykański specjalista od snu, dr Jovanovic twierdzi, że po przeprowadzeniu wielu testów doszedł do wniosku, iż sypialnię powinno się urządzać w największym pokoju. Chodzi nie tylko o to, by w czasie snu zapewnić sobie maksymalną ilość powietrza, lecz również o to, że duże pokoje są zawsze bardziej dźwiękochonne, niż małe. Dr Jovanovic udziela porad ludziom, którzy urządzają sobie domy. Preferuje on postania duże, masywne, szerokie i stałe, z dużą przestrzenią wokół śpiącego i materacami na tyle sprężystymi, by nie dawały odczucia pod wpływem ciężaru ciała.

Jest przeciwnikiem wszelkiego rodzaju rozkładanych foteli i kanap oraz tym podobnych posłań improwizowanych. „Solidny wygodny tapczan lub szerokie francuskie łóżko, to połowa gwarancji, że sen będzie spokojny i słodki” — mówi dr Jovanovic.

Seks jest niezdrowy

„Seks niszczy osobowość człowieka, zaślepia go, uzależnia od drugiej osoby, obniża sprawność umysłową, zabiera energię, którą można byłoby spożytkować na sprawy wartościowe, zajmuje czas, w przypadku niespełnienia powoduje stresy, przyprowadza człowieka o zażość i nienawiść, w konsekwencji bywa przyczyną morderstw i innych tragedii, zagraża chorobami wenerycznymi i śmiertelnym wirusem AIDS...”

Z takim poglądem występuje od dwóch lat publicznie znana angielska pisarka, autorka kilku bestsellerów, Liz Hodgkinson. Jej bestsellery dotyczą właśnie tych spraw. Karię zrobiła książką pt. „Sex Is Not Compulsory”. Przedtem była nikomu nieznaną dziennikarką.

Podobne dowodzenie, choć nieco skrajnie zawierając książki dwóch innych autorów: Gabrieli Brown i Celi Haddon. Pierwsza nawołuje do robienia dłuższych przerw w uprawianiu seksu, druga proponuje ograniczenia, np. „nie częściej, niż dwa razy w tygodniu”.

Co na to panowie? Odezwał się jeden. Jest piosenkarzem w znanej angielskiej grupie „Smiths” i nazywa się Morrissey. Głosi ze sceny pochwałę celibatu. „Wstrzemięźliwość od seksu czyni człowieka bogatszym wewnętrznie. Im mniej używa się seksu, tym mniej go się pragnie. Przychodzi chwila, że myśl o seksie staje się wręcz niemiła. Od pięciu lat nie uprawiam seksu i od tej pory zmieniłem świadomość. Wierzę mi, jestem szczęśliwszy i wolny” — zapewnia Morrissey.

Kolumnę opracowała: BEATA BARTOSIEWICZ



Kobiety pastorami?

„Emancypacja kobiet nie ma granic” — oburzają się co bardziej konserwatywni mieszkańcy Berlina Zachodniego. Powodem jest sensacyjny awans Martiny Gern. Pani ta, lat 40, z wykształcenia teolog, mianowana została naczelnym zwierzchnikiem dużej diecezji w tym mieście, oczywiście, ewangelickiej.

Po raz pierwszy w historii stanowisko takie sprawuje kobieta. Martina Gern poprzednio prowadziła niewielkie zgromadzenie ewangelickie i w tym czasie dała się poznać jako bardzo dobra organizatorka. Jej wielkim i uprawianym z poświęceniem hobby jest udzielanie pomocy biednym i bezdomnym oraz opieka nad chorymi.

Pani Gern z energią rozpoczęła sprawowanie rządów nad wchodzącymi w skład diecezji kościołami oraz duchowieństwem, które, rzecz jasna, jest w stu procentach męskie. Szefowa diecezji wciąż pozostaje (choć nie musi) w stanie wolnym. Czas po pracy lubi poświęcać muzyce. Nie ukrywa, że przez kilka lat grała na flecie w orkiestrze amatorskiej. Jest wielbicielek zwłaszcza muzyki klasycznej. Popiera turystykę pieszą i czasem sama wyrusza gdzieś z plecakiem.

Wszystko to jest dla berlińczyków niezwykle. Gazety mają temat: czyżby duchowni-mężczyźni zaczęli mówić „pas” i traciли zainteresowanie karierą zawodową?

Śmieci zasypują świat

Gdy my gorączkowo poszukujemy miejsc na wysypiska, utyskując, gdy zlokalizowane zostają w pobliżu naszych domów, podobne problemy mają mieszkańcy innych krajów. Z tym tylko, że na Zachodzie można zrobić na śmieciach ogromny byznes. Są specjalne zakłady, w których śmieci zwożone w ogromnych ilościach są automatycznie sortowane i przetwarzane na artykuły użytkowe.

Obliczono, że najwięcej śmieci powstaje w USA: 703 kg rocznie na głowę mieszkańca. Drugie miejsce zajmuje Norwegia: 415 kg, trzecie Dania: 399 kg, czwarte Holandia: 382 kg i piąte Japonia: 344 kg. W tej statystyce RFN znajduje się na pozycji szóstej: przypada tu rocznie 328 kg śmieci na każdego (spośród 60 milionów) mieszkańców. Dalsze miejsca należą do Szwajcarii, Belgii, Szwecji i Francji. Ciekawe, jak w tym zestawieniu przedstawiały się Polska?...

Najpopularniejszy język chiński

Jak podaje zachodniemiecki „Fischer Weltalmanach”, dla 650 milionów ludzi językiem narodowym jest chiński. Tym samym jest to najpopularniejszy język na świecie. Drugie miejsce zajmuje angielski, którym rozmawia 358 milionów, trzecie rosyjski, który służy 233 milionom, czwarte hiszpański — dla 213 milionów. Miejsce piąte zajmuje język hinduski, którego używa 109 mln ludzi. Dalej plasują się języki: arabski, portugalski, bengali i na dziewiątym miejscu język niemiecki, służący 120 milionom osób. Dziesiątkę najpopularniejszych zamyka język japoński, którym rozmawia 110 milionów.

Słynni leworeczni

Zapewne mało kto wie, że słynna su per piękność naszego stulecia Marilyn Monroe była małżonką. Angliki zdążyli przyzwyczaić się, że ich królowa Elżbieta II przy pisaniu używa ręki lewej, zamiast prawej. Leworeczni byli: car Rosji Aleksander Wielki i król Erika, Charlie Chaplin. Wielki poeta Goethe wszystko co stworzył, napisał lewą ręką. Leworecznym był geniusz wszech czasów, architekt, malarz i rzeźbiarz Leonardo da Vinci!

Z żyjących leworecznych warto wspomnieć Jimmego Connorsa oraz Paula McCartney'a, jednego z „Beatlesów”. Leworecznym jest również prezydent George Bush, co mieliśmy okazję stwierdzić podczas jego niedawnej wizyty w Polsce.

KORALE MALINY

Korale Maliny zebrane są w morzu
Wytarte o piasek o siebie o gryz
Już gładkie do bieli
Łagodne w dotyku
Prawie piastki niemowląt oblepione snem

Korale z Akaba znają górę Nebo
Gdzie Mojżesz spoglądał na mury Jerycha
To Bogu dziękując
(za ziemię obietnicę położoną nisko)
To oczy spuszczaając, gdzie ślał mu się grób

Korale Maliny mają zapach soli
I żar pustynny z marmurów Palmiry
Być może zastępy w nich śpiew Muezina
Z meczetu, co lico podaje do wschodu
— Na Polskę wskazywał dyszlem Wielki Wóz

Zabiło we mnie ojca socjalistę
Przyjaciół jego — komunistów ważnych — oklepiano
dokładnie

Miejsce przy miejscu językami silnymi
Jak ogony bobrowe

(Tak uderzają wytrawni technicy
Zjednoczeni w biciu skórnym i podskórnym
Dotąd tak zwani towarzysze)

Czyn ów wykonano
Między drugim maja a czwartym czerwca
Roku 1989 od narodzin Chrystusa
Przy świadkach wielu, jakby w Colosseum

(Działania takie wywołują aplauz
Widzów co zawsze są w szacie ochronnej
Zachwyty, że tłuką nie ich jeno bliźnich)

Mogą oni sumienia trzymać bardzo skryte
Jak zapach pod pachą
Ślinę pod językiem
Co jak pies waruje aż mu treser świni
Wiktor — przesławny gwiazdacz okolicy

czerwiec 89

I cóż komu z tego
Ze wiersze moje z seków są i siół
Pełne brzozy, szarości, i suszonej cegły
Ze w nich drzewa bez liści, bez zapachu są grzyby
Ze ułożone są z bryłów drewnianych
Mają kwadrat sufitu miast wklęsłości nieba

I gitary tu nie ma — pudło, dźwięk przymilny —
Jest parkiet w mozaice — stałe miejsce nogi
A w każdej kłepce, zawiasie, spoinie
Jest umieszczony na stałe mój oddech
Którym fornir pola
Z okleiną orzecha mistrz zręcznie pojednał

Te wiersze bez koron igłami nie szumią
Nie cienia, nie pszczoły, nie pięknią obrazu
Tu chmur obłych nie ma więc nie zasłaniają
Opoczną nieba miłosnych zawilców
Przedmioty moje, bądźcie dla mnie dobre
Progu mój przyjmij stopy mądrych ludzi
Drzwi odchylajcie swe skrzydło dla gości
Na intarsji życia święta uroczystość

czerwiec 89

W tym roku mija 30 lat od debiutu poetyckiego Zdzisława Morawskiego. W 1959 roku sumptem Wydawnictwa Poznańskiego ukazał się jego pierwszy tom wierszy zatytułowany „Pejzaż myśli”. Obecnie prezentujemy nową twórczość poety, który również uprawia inne gatunki literackie. Załączamy nasze gratulacje, życząc dalszych sukcesów pisarskich znanemu twórcy, laureatowi m.in. nagrody naszego pisma.

Życ będzie

W połowie lipca tego roku zaterkotał mój telefon: — Nic panu nie powie moje nazwisko — tłumaczyła się pani, jak mi się wydało, w podeszłym wieku — ale telefonuję za radą pani Marii Kuncewiczowej. I zaczęła wyluszczać swoją prośbę. Pani Romana M., moja rozmówczyni, utraciła wzrok. Maria Kuncewiczowa mimo bardzo podeszłego wieku i własnych dolegliwości znalazła jeszcze tyle siły, by napisać do pani Romanie i wesprzeć ją na duchu. Radziła jej też skontaktować się ze mną. I stąd ten telefon.

I wtedy pamięcią przeniosłem się do uroczego domu pani Marii Kuncewiczowej w Kazimierzu Dolnym, w którym miałem satysfakcję znaleźć się w 1974 roku. Tegoż lata przebywałem w domu RSW „Prasa” na wczasach i w czasie spacerów wielokrotnie przechodziłem obok willi słynnej pisarki, autorki wielu wybitnych i powszechnie cenionych powieści. Nie wiedziałem, że byłem obserwowany. Któregoś dnia ogrodnik państwa Kuncewiczów podszedł do nas i powiedział, że pani Maria byłaby rada, gdybyśmy zechcieli złożyć jej wizytę. — To moje największe pragnienie — odpowiedziałem i w napięciu czekałem na tę chwilę.

U progu powitał nas pan Jerzy, mąż Marii i wprowadził nas do pokoju gościnnego. Pani Maria witając się położyła mi na przedramieniu dłoń, z której, tak czułem, emanowało ciepło i wręcz miodowa energia. Przy aromatycznej herbie państwa Kuncewiczów na przemian opowiadali o swoich wielkich wojach, a gdy przechodziliśmy na tematy literackie, wówczas w głosie pani Marii słyszano się nowy przypływ energii.

Później przypomniałem pani Marii jej pierwszą powieść radiową „Powszednie dni państwa Kowalskich” nadawaną przed samą wojną w odcinkach, której nie słyszałem. Natomiast wysłuchałem paru odcinków emitowanych w latach pięćdziesiątych przez radio BBC. — Czy pan wie — powiedziała pani Maria — że przywiozłam z Anglii do Polski na tasmach całe jej nagranie, ale tu w kraju nikt się nią nie zainteresował. Za rzucano mi nawet, że wrogiemu radiu sprzedałam swoją powieść.

W 1975 roku jako juror kapituły „Złotego mikrofonu” zaproponowałem, żeby za tę właśnie powieść przyznać Marii Kuncewiczowej „Złoty mikrofon” i wszyscy jurorzy temu wnioskowi przyklasnęli. Nagroda ta bardzo panią Marię wzruszyła. „Do Kazimierza wybieramy się wrócić w pierwszych dniach maja — pisała w liście z Rzymu w połowie lutego 75 r. — albo pod koniec kwietnia i bardzo prosimy o wizytę”. Niestety, po raz drugi nie byłem już w Kazimierzu. Ten właśnie list przypomniał mi się po telefonie Romanie M.

Gdy w kilka dni później z radia dowiedziałem się, że pisarka zmarła w wieku 92 lat, bardzo trudno było mi to uwierzyć.

„Kochany Panie Michale — pisała 8 lutego 1988 r. do mnie po przeczytaniu mojej autobiograficznej powieści — piszę kochany, bo zawdzięczam Panu zwrot w moim starczym samopoczuciu. Dowiadując się z książki „Gdy moim oczom”, jakiego niemal nadludzkiego wysiłku kosztowało Pana utrzymanie się przy pełnym ludzkim życiu, pohamowałam i starałam się naprawić moje złe cznienie starości. Teraz dopiero zdałam sobie sprawę z tego, że lata temu poznałam Pana osobistej w towarzysztwie Pani Lubicz w kazimierskim domu.

Osiągnięcie pełni ludzkiego samopoczucia jakiego Pan dokonał przy Jej pomocy, każę podziwiać zarówno Pańską, jak i Jego przyjaciół żelazną wytrwałość, podziwiałam jednak gorącym uczuciem ludzkiej wspólnoty. Życzę Panu dalszego powodzenia w pracy zarówno nad obcym materiałem jak i nad sobą samym.

Z uwielbieniem i podziwem — Maria Kuncewiczowa”.

Myśli zawarte w tym liście rozwinęła w następnym z dnia 18 lutego 1988 r.: „Oczywiście nie byłoby to naturalne, gdybym w osiągnięciach Pana i Jego nieporównywalnych Przyjaciół, nie upatrywała związku z własnym losem. Tak jak moje piarstwo było raczej nadbudową niż samym życiem, tak też mój obecny stan głębokiej starości przeżywałam czasem jak koszmar, a czasem jak rewelację czegoś lepszego niż życie. Dziękuję z całego serca Panu i Jego Współtwórcom ludzkiej istoty za lekcję wytrwania i znak przyjaźni.

Oddana — Maria Kuncewiczowa”.

A po przeczytaniu mojego tomu opowiadań „Zdeptanego podnieść” dzieliła się ze mną następującą refleksją w liście z dnia 1 sierpnia 1989 r.: „Moje wysiłki nie mogą się równać z tym, co Pana wysiłkiem, przełamania zdawałoby się beznadziejnego losu. Równie gorąco podziwiam Panią Lubicz i całą Jej rodzinę, która się włączyła w akcję „Zdeptanego podnieść”. Dziękuję za pamięć, za wytrwałość niemal nadludzką i bardzo serdecznie dziękuję za przesłaną książkę. Sama walczę teraz z potrojnym kalectwem: wzrok, słuch i pamięć, ale to nie to samo. Z gorącym uściskiem dla Pana, Pani Lubicz i całego Jego Klanu Ratowników — Maria”.

Po usłyszeniu smutnej wiadomości sięgnąłem po te cenne listy pisane do mnie przez osobę walczącą o godne trwanie w bólu i cierpieniu. Maria Kuncewiczowa żyć będzie wśród nas i potomnych na napisanych sercem i umysłem stronach swych dzieł.

MICHAŁ KAZIÓW

Notatki z Kuby

Tamtego wczesnego poranka Krzysztof Kolumb zgodnie z królewską umową, w której pomyślnie wypełnienie chyba tylko on jeden wierzył, stał się admirałem i wielokrotnie Niepokorony, butny, pewny siebie Genuńczyk dopłynął swego odkrycia nową drogą do Indii, a więc do Azji. Łodzią z flagowej, teraz także już admirałkiej „Santa Marii”, wymijając koralowe rafy, do bil do brzegu i jak dziś papież na oczach milionów, padł na kolana i ucałował ziemię. Z pewnością wszyscy majtkowie oglądali ten ceremonial. A było ich na trzech karawelach razem stu. Moment postawienia drżącej stopy przez Armstronga na Księżycu oglądało, zdaje się, miliard ludzi na obu półkulach. Księżyc był już od wieków nazwany. Ten pierwszy skrawek odkrytej ziemi Kolumb nazwał San Salvador, co w języku hiszpańskim znaczy: zbawca, wybawca, wybawiciel. Ale, jak wiecie, nie tylko dla Kolumba miało się dopiero zacząć.

Bariay to także miejscowość, maciupę, chłodząca się w wiecznym oddechu zatoki, o tej samej nazwie, bardziej jednak żyjąca z pobliskich cukrowni niż z Atlantyku. Na niewielkim, wysokim, mierząc od powierzchni wody, cypelku, postawiony w 1952 r. spatynowany obelisk informuje, że to właśnie tu, w Zatoce Bariay, według zgodnej opinii wielu wybitnych historyków i geografów po raz pierwszy na Kubie stanął Krzysztof Kolumb, a stało się to dokładnie 28 października 1492 r. Ceremoniał powitania, z pewnością był już skromniejszy, bo euforia sprzed dwu tygodni minęła. Teraz zabrano się do innej roboty: weszono za złotem, bo przecież nie przypłynęli tu wyłącznie po sławę. Wypatrywano też pałaców cesarza Chin, opisanych przez Marco Polo, bo Kolumb, który wszystko źle obliczył, myślał, że jest w Chinach. Nic mu się nie zgadzało, krajobraz, ludzie, ich mowa, ale zamysł jeszcze raz okazał się silniejszy od rzeczywistości.

Mógł być więc Kolumb prototypem Don Kichota, który wiatraki brał za zbrojnych przeciwników, a starą, bezębną Dulcyneę miał za najpiękniejszą, cnotliwą damę swego serca. Spragniona kobiet zalogą przywiozła do Europy chorobę, która jeszcze dziś uchodzi za wstydlivą. Ale to było później. Wcześniej, z Gibary, parę kilometrów od Bariay, Kolumb wysłał poselstwo do Holguin, gdzie spodziewał się złapać nie prowadzącą do cesarskich pałaców, Ale Holguin to wtedy zaledwie kilkadziesiąt chat pokrytych wysuszonymi liśćmi. Nie była to jednak podróż zupełnie stracona. Posłowie przemierzając drogę nie dłuższą od trasy biegu maratońskiego, zauważyli, że tubylcy liście pewnej rośliny zwijają w tubkę, zapalają i zaciągają się dymem. Tak zaczęła się kariera kubańskich cygar.

Spoglądając z cypla na Zatokę Bariay zastanawiałem się, co tak zaurczyło tu Kolumba, który nie mógł posiadać się z zachwytem nad urodą tej ziemi. Pejzaż istotnie jest urokliwy. I nie sądzę, aby od tamtych czasów uległ większym zmianom. Brzegi pokrywa bujna, wysoka zieloność. W głębi łąd porośnięte drzewami niewysokie góry,

mentów. Był człowiekiem z pierwszych stron gazet i szykował mu się kolejny awans. Tylko u jednego wysokiego oficera bezpieczeństwa, uwikłanego w ten sam proceder, skonfiskowano 11 samochodów, motocykl oraz prawie trzysta tysięcy dolarów. W kraju, gdzie materialne zachęty odrzuca się jako burżuazyjny przeżytek a surowość i skromność życia są oficjalnymi cnotami, takie bogactwo może szokować.

Nad Zatoką Bariay pobudowano ośrodek wypoczynkowy i przeróżne atrakcje. Na kotwicy pełnią funkcje baru, stoi wierna kopia „Santa Marii”. Wykąpani do syta, tak jak ja, niski, tłusty Pedro Ortiz, pisarz i dziennikarz, brat — lata, gawędziarz, zaprosił nas, tu na piwo, które piliśmy z papierowych kufli. Siedzieliśmy na ławach pod bocianim gniazdem, a obok odurzony piwem z pewnością i rumem piękne młode Kubanki flirtowały z mężczyznami. Zbliżała się przesycona wilgocią, parna noc. O dobra, wyrozumiała „Santa Maria”, której pramiatkę tak chwalił Kolumb, aż osiadła na skałach i rozebrała ją belka po belce.

Za trzy lata, dokładnie w pięć wieków od tamtej wyprawy, z Hiszpanii

Całowanie ziemi

które migotały w rozgrzanym powietrzu.

Piaza w Bariay jest niewielka, jak sama miejscowość, o piasku prawie białym. Woda w zatoce tego popołudnia była ciepła, zielonkawa i niemal nieruchoma. Żadnego podmuchu wiatru, najmniejszej fali. Czy w tamtych, październikowych dniach i nocach też była taka pogoda? W którym miejscu za toki kotwiczeli te karawele, na których widok pierzchali tubylcy, aż się oswoił z sytuacją. Teraz po kolana narzuceni mężczyźni i kobiety podawali sobie z ust do ust butelkę z rumem. Śmiali się, żartowali, dalecy od rozważań nad historią, która z pewnością ani ich nie, ani parzy. Pracujący w pobliskiej cukrowni inżynier, Kreol, który tu na niedzielnym wypoczynku przyjechał fiacikiem, gdy dowiedział się, że jesteśmy Polakami, sięgnął po butelkę rumu, by nas poczęstować. Chwała swojemu „połaguito”, jak na Kubie nazywają naszego małego fiata, że mało pali, i że dobrze spisuje się w tutejszym klimacie. Zapłacił za niego 3 200 pesos, a to jest mniej więcej dwuroczny, średni zarobek. Na Kubie żyje się nielekkko, niemal wszystko jest tu reglamentowane. Co których Kubańczyków po 1959 roku opuścił kraj, i zabrał ze sobą to, co mógł, najczęściej twardą walutę. Wyjeżdżali wykształceni i zaможniejsi. Wychylił też ważne źródło dochodów — amerykańscy turyści. A uroda wyspy, obok cukru, to główne bogactwo Kuby. Aby to piękno przynosiło dochód, trzeba wpiwować produkty za inwestować... I tak od rozmyślań nad pierwszymi tygodniami naszej ery w Zatoce Bariay, szybko przeszliśmy do dzisiejszej Kuby, pogrążonej w gospodczym kryzysie. Ujawnienie handlu narkotykami przez bohatera rewolucji, po wszechbie tu znanego generała Ochoa jak tropikalny huragan wstrząsnęło wspan. Ochoa przez piętnaście miesięcy do wodził kubańskimi wojskami w Angoli, skąd miał przywieźć garnek dia-

mają popłynąć kolumbową trasą trzy statki. Wierne kopie tamtych karaweli. Czy zawitają do Zatoki Bariay?

Tymczasem przeniesmy się do Starej Hawany, gdzie przy Plaza de Armas stoi potężny, barokowy Pałac Kapitanów Generalnych. Na dziedzińcu, jakby w ukryciu, w otoczeniu wybujałych krzewów, na tle zwieńczonych lukami kolumn, niewysoki pomnik Krzysztofa Kolumba. Starszy pan, tłusty, w peruce, prawą ręką oparty o globus, z lewą wyciągniętą jakby podawał komus do pocałowania, nie chciał mi się skojarzyć z człowiekiem, którego rozpięła chęć sławy i majątku. Ale to kim go widział włoski rzeźbiarz Cuccchiari. Rewolucja na Kubie pozostawiła postać Kolumba na cokole, dając tym samym dowód, że szanuje tradycję. Na pobliskiej Haiti pomnik Kolumba wrzucono do morza.

Z Pałacu Kapitanów Generalnych już bardzo blisko na Plaza de la Catedral, niewielki, ciasno zabudowany, bo tu każdy metr ziemi zawsze był drogi, Plac Katedralny w dni robocze zamienia się w jarmark, gdzie można kupić parę drobiazgów bez większej wartości. Najwartościowsze produkty Kuba eksportuje lub sprzedaje w sklepach za twardą walutę. Podobnie jak m. Ozdoba tego najurokliwszego miejsca Hawany jest osiemnastowieczna katedra z koralowego wapienia, która jak wiele gmachów Starej Hawany czeka na ręce konserwatorów. U wejścia do głównej nawy kolorowy portret Jana Pawła II, i to jest jeszcze jeden polski akcent na wyspie. Papież — Polak już zaproszony przez Fidela Castro, za kilkanaście miesięcy tu przyjedzie i pierwsze co uczyni po wyładowaniu z pewnością na lotnisku Jose Martí, to ucałuje życiodajną, kubańską ziemię. Wzorem Kolumba w San Salvador sprzed pięciu wieków. I to będzie jedyna w tych podrózkach podbieństwo-

JANUSZ KONUSZ

Podsiedli bardzo spokojnie i opanowanie do ich stolika i gwałtownie ją stamtąd wyrzucił, uderzając ją w sam środek twarzy. Jej przyjaciel nie mógł tego przeżyć. Zerwał się głośnie, wściekle wymachując rękami, rzucał się do bicia. Kuczał i podkakiwał nisko, przybliżając się do jej męża. Ale to wszystko było zwracaniem dupy. Próżna trzepota ptaka bojownika. Bo jej mąż trzymał ciosami rzucał go na podłogę. Gdy tamten wygramolił się na proste nogi, dostał jeszcze raz w szczękę i wyeliminowany leżał jak szmata na podłodze wśród swego wspaniałego stroju. Nagle zobaczyła go przed sobą z rewolwerem w ręku. Potem nie potrafiła powiedzieć, czy miał zamiar do niej strzelać, czy chciał ją tylko zmusić, żeby z nim poszła. Ale naraz ludzie zaczęli go ze wszystkich stron przytrzymywać. Wówczas rozległ się strzał. Nie nie poczuła. Tylko ciepło i uczucie pieczenia. Nie miała w tym miejscu uczucia, powiedziała pocierając palcem po bliźnie. Mogła tam przyłożyć zapalonego papierosa. Sądziła, że mąż dostał czołowego w rodzaju udaru mózgu. Stale na tym palącym słońcu i to ciągle picie. Na domiar złego kupił jeszcze kiedyś kamelona. Od handlarza, który przywiózł go z Madagaskaru. To było dla niej coś potwornego, to zwierzę w szklanym pojemniku w jej pokoju, z którym cały dzień była sama. A te oczy, tylko chodziły. Zupenie jakby była podglądana przez dziurkę od klucza. Trzeba go było karmić karaluchami. Kiedy mąż siedział z kolegami przy kartach i alkoholu, a zobaczył biegnącego po ścianie karalucha, to za ciężko mu było wstać i złapać go. To ona musiała uciąć kawałek taśmy klejącej i przykleić go szybko do ściany. Bo za żadne skarby nie wzięłaby czegoś takiego do ręki. On tylko wołał: „Cockroach, cockroach!” Kiedy wieczorem leżała w łóżku i nie mogła spać od gorąca, zdawało jej się, że słyszy drapanie o tynk łapek uwiecznionych stworzeń. Następnego ranka on je zbierał ze ściany i rzucał kameloniowi. Nie miała nic przeciwko temu, że on zjadał te karaluchy. Ale odgłosy jakie przy tym wydawał, to było coś ohydne. Kiedy ją zapytał, jak to się skończyło z jej mężem, powiedziała, że pewnie siedzi gdzieś w więzieniu albo zakładzie. Ze ostatnią rzeczą, jaką jej wykrzyczał, kiedy policja odprowadzała go po przesłuchaniu było, że ją wszędzie odnajdzie. Poparzył na nią surowo i powiedział zjadł: „Olga, you'd better look over your shoulder”. Zdjął ją śmiertelny strach i natychmiast wysłała telegram do matki, żeby po nią przyjechała. I była teraz z powrotem w Alkmaar. Wśród tych mokrych błotnistych łąk. I głowa jej pękała z bólu od tej mgły, tak jak tam na początku bolała ją z tamtej spiekoty. Po wiedziałam, że teraz przynajmniej jest wolna. Z miejsca na mnie naskoczyła: „Coś ty, ja wcale nie chcę być wolna. Czuję się z tym potwornie nieszczęśliwa”. Potem ścisnęła głowę rękami i odrzuciła włosy w górę beznadziejną rozwidzoną chmurą i dalej tak siedziała. Patrzyłem na te paznokcie polakierowane na macię perłową, na białe jak ze starości dionie, w rudych włosach, które też były już takie szarżakie i matowe. I musiałem się powstrzymać, żeby nie uścisnąć koło niej, nie otoczyć jej ramieniem i razem serdecznie nie wybezczyć się po tej udrecie. Naraz odezwała się matowym głosem, jakby mówiła do siebie: „Ach, zaraz potem znowu się w pościechu rzuciłam w coś nowego. Myślałam sobie, że teraz to Pana Boga za nogi złapałam, a dziś go znowu już całkiem zapomniłam. Oprócz przykrych rzeczy. Ten upał i te cholerne owady. I to moje ciało, które wciąż dawało mi się we znaki. Bo trzeba je ze sobą wszędzie wioźć. I moję ci tylko powiedzieć, że nie jestem zadowolona z tego życia, jakie miałam do tej pory. Zupenie nie. Nawet czasem myślę sobie, że powinienam iść do psychiatry. Nie wiem, co począć. Jeśli się nie dopuszcza na powierzchnię różnych swoich uczuć, to koniec końców sam już człowiek nie wie, jak to z nim jest”. (...) Wstała i zaczęła chodzić. Naraz zatrzymała się, wskazała na podłogę i powiedziała, że w środku upałów nagle zobaczyła to miejsce wyraźnie jak na dłoni. Jak tam siedzieliśmy słuchając tamtych dwóch płyt Benny Goodmana, kiedy pierwszy raz u mnie była. I że podczas pieszczot powiedziałam jej: „A teraz chętnie bym gdzieś wysłał to swoje beczenne nasienie”. I że wtedy ją to śmiertelnie przestraszyło. Naraz zaczęła się ochryple śmiać, przeciągnęła się, przycisnęła dionie do żółdka i zapytała, czy nie sądzi, że jej piersi znowu się powiększyły. Powiedziała, że używa specjalnego mazidła na piersi. Zabrała tego całe słoiki. Z Abu Dhabi. Ma zapas wystarczający do sześćdziesiątki, dodała ze śmiechem. Po nasmarowaniu pojawia się pobudzające uczucie ciepła, jakby się leżało pod kocem elektrycznym. Potem skóra robi się czerwona. A kiedy to przechodzi, okazuje się, że naprawdę piersi są nabrzmięte. Jej mąż wyśmiewał ją za to. Mówił, że to wcale nie pomaga. Ze to zwykły krem hormonalny z Ameryki, który Arabowie przetaczają do swoich flakoników z tajemniczymi etykietkami. Zastanawiałem się, do czego ona zmierzła. Zebym zapytał, czy mogę je zobaczyć i stwierdzić, że znowu są takie jak przedtem? Czy było to tylko takie babie gadanie. Bez żadnych ubocznych zamiarów. Tak czy owak na po jednanie między nami na bazie mazidla na pierś się nie zanosiło. Ale i ona sama była już gdzie indziej. W Ameryce, gdzie jednak przeżyła przyjemny okres. Niekiedy jadła pięć homarów jednego dnia. A pewnego razu zobaczył przy drodze przez rozległą prerię, jak grupa kowbojów szlachetnie krowę. Wysiedli i przez cały wieczór się przyglądali. Jak to zwierzę było rąbane na sztuki i na miejscu pieczone na rożnie. To było całkiem jak film. „Rzeka bez powrotu” z Marilyn Monroe, który widziała ze mną w dalekiej przeszłości. Jeszcze następnego ranka czuła na policzkach gorące ogniska, tak blisko niego siedziała. To był szalony kraj. W jednej miejscowości obsługujące dziewczyny prawie sobie maczały cycki w talerzu, a krok dalej malowali na wet chromowane części samochodu na czarny mę i trzeba było sobie ukrywać ślady po nikotynie na palcach, bo by człowiek nie wpuścił. Któregoś wieczoru mąż jechał sto osiemdziesiąt na godzinę, bo ledwo żył z niewyspania, a do najbliższego motelu było dwieście kilometrów. Naraz niebieskie migoczące światło koło nich. Ryk: „Nie widzieliście naszego radaru?” Policjant, takie byczysko w czarnej skórze. Ale kiedy mu wręczyła parę drewnianych saboczków, zmknął jak dziecko. Jego przydomkiem byli Holen drami. I o mandacie nie było więcej mowy. Potem znowu zaczęła o pokazie Kuriozów, który zwiędziła ze mną wtedy, jak mnie po raz drugi spotkała na jarmarku na Nieuwmarkt. Kobieta z wosku przywiązana do pala męczeńskiego z ciężarem u pasa stała jej wciąż przed oczami. Po tydkach ściekały czerwone strużki i krew le

ciała z ust. I tak się czuła, kiedy jej mąż, drugi, powiedział jej pewnego razu: „Jesteś taka dumna jak Joanna d'Arc, tylko nie taka mocna”. I wtenczas wziął ją siłą. Było to dla niej coś obrzydliwego. Wstrętne było dla niej to wtedy, jak na plaży Amelandu rozciągał na kawałki wszystkie te meduzy, choć wiedziała dobrze, że są nieżywe. Ale wiatr tak nimi poruszał, że wyglądało zupełnie tak, jakby żyły. Potem znowu naraz jej się to znudziło. Wywoływanie tych wszystkich kawałków przeszłości. Zresztą przyjechała do Amsterdamu, bo musiała pójść na badania do ginekologa. Bo tak się okropnie czuła z tym swoim brzuchem i głową pękającą z bólu. A zanim poszła, powiedziała, że z nią jest odwrotnie, niż z tamtą przyjaciółką znaną Zatką Perskiej, która napisała na ścianie Fuck me I'm desperate. Też jest zrozpaczona. Ale chciała by każdemu wykrzyknąć: „Zostawcie mnie, na litość boską, w spokoju!”

ROSA TURBINATA

Kiedy niedługo potem zadzwoniła do mnie jej matka, od razu tknęło mnie przeczcucie, że to chodzi o Olgę. W jej głosie pobrzmiewało sztućczne współczucie, którym mi wyraźnie dawała do zrozumienia, że jest silną i odporną kobietą, która potrafi się opanować. Powiedziała, że Olgę ostatnio coraz mocniej bolała głowa. Raz w nocy znalazła ją nieprzytomną w ubikacji. Leżała tam kilka godzin. Ponieważ lekarz domowy nie mógł stwierdzić przyczyny, trzeba było zrobić prześwietlenie głowy w szpitalu w Amsterdamie. Jeszcze zanim przyszli jej wyniki, dostała telefon. Natychmiast trzeba było przeprowadzić operację mózgu. Wypilowali jej otwór z boku głowy i pokazał się tumor wielkości kawałka mydła toaletowego. Ale korzenie musieli pozostawić, bo były wrosnięte w mózg. W przeciwnym razie zostalaby sparaliżowana. Teraz była codziennie napromieniowywana i w szpitalu dawali jej nadzieję. Olga już kilka razy o mnie pytała, więc ona teraz do mnie dzwoni, żeby mnie poprosić, czy nie mógłbym jej od czasu do czasu odwiedzić. Bo ona jest jedyną, która do Olgi przychodzi, ale też nie może co dzień jeździć do Amsterdamu. Kiedy mi to wszystko opowiadała, byłem jak po zawrocie głowy. Niezdolny, żeby pojąć powagę sytuacji. Bo stanęła mi przed oczami Olga w szklistym świetle z włosami

Sceny miłosne w literaturze pięknej

głebie w nerwowym ataku płynęły mi łzy. „Umierasz, Olga. Ty umierasz”. Następnego popołudnia poszedłem do niej. Leżała w separacie. Pierwsze, co zobaczyłem, to było wielkie okno z wieloma parkowymi drzewami. Z powodu zawieszonych w nim gazy i światła, które zlatowało w niej się rozpraszając, wyglądało to jak gobelin. A ona leżała w niebieskawym cieniu salki, a na dworze świeciło słońce. Położyłem różę w nogach łóżka i podszedłem do niej. Wyciągnęła rękę. Bez siły i wzdornia w dotyku. Twarz też miała nałaną. Jej oczy wydawały się przez to mniejsze. Lewą stronę głowy miała lysą. Blizn nie było widać. Parę czerwonych krescelek. Rozpoznać to było można tylko po drżeniu skóry. Ze pod nią nie ma kości. Włosy, jakie pozostały, były krótkie i poprzecinane lysymi plamkami. Nerwowo przeciągnęła po nich palcami i przeglądając się w lusterko powiedziała, że może całkowicie wyliszeje. Ze tak powiedział lekarz. To z powodu promieniowania. Ale że potem odrosną jej znowu i po bliźnie nie będzie śladu. Spróbowała się rozeźmiać i powiedziała, że ma teraz głowę z drzewczkami. Ze ten kawałek kości potem się wstawi. Ze przechowują go teraz na dole w lodzie. Było to dla niej takie niepoważne. Ze gdzie indziej był kawałek jej. Na początku stała jej się przypomniała rycina Antona Piecka na okładce książki Trygve Gulbranssena **Wiatry wieją na skały**, którą widywała na regale u swojej matki. Lodowa ściana jak w lodowcu, a w nią wrysowana czaszka. Czuła po prostu ten ziąb na swojej głowie. W miejscu, gdzie była otwarta. Kiedy usiadłem koło łóżka, powiedziała, że dobrze wyglądam, a ja poczułem się jak rozbawiony drah. Bo byłem zdrowy, a nie mogłem nic dla niej zrobić. Opowiedziała mi, jak to na początku patrząc przez okno zobaczyła wspaniałe jasnozielone kwiaty na drzewach. I długo się zastanawiała, co to może być, jasnozielone kwiaty. Takie to jej się wydawało tajemnicze. Dopiero pielęgniarka powiedziała jej, że to są kasztany. Coś dziwnego działo się z jej oczami. Bo najpierw mogła dokładnie przeczytać, co było napi-

tak przez to ostatnie półrocze jej życia spędzałem przy niej parę godzin po kilka razy w tygodniu. Przez okno, z którego także na zimę nie usunęli gazy, widzieliśmy razem jak żółkną drzewa, jak pada śnieg. Ale kiedy znowu wszystko się zazieleniło, musiałem jej już o tym opowiadać. Była już całkiem ślepa. Na początku była zazwyczaj bardzo spokojna i trzeźwa. Przy pominaniu sobie z niezwykłą dokładnością wiele szczegółów z przeszłości. Jak siedzieliśmy na lawce w parku Vondela i wysysaliśmy miód z weigelii, a obok w koszu na śmieci pełno było klaków czarnej psiej sierści. Jak to asfalt był zawsze wilgotny, gdy wracaliśmy z nocnych koncertów, a kiedy raz siedzieliśmy na tarasie restauracji w Artis, widzieliśmy jak mewa srebrzysta polknęła w calości wróbla, który się zanadto do niej zbliżył. Widziała, jak ptaszyna jeszcze poruszać się, przechodzić przez gardło. Oh, yda. Pewnego razu powiedziała, że w Meksyku kupiła mi terakotową rzeźbę z wykopaliska. Kochająca się para. Jeszcze oblepiona ziemią. Zostawiła gdzieś w hotelu w San Diego. Jednakże później marudziła jak dziecko. Po kilka razy na godzinę musiałem obmacywać jej przednie zęby, bo zdawało się jej, że się obluźwiają. W środku odwiedzin chciała mnie wysłać po torebkę rachal-lukum, bo tylko te galaretki miały jeszcze odwagę gryźć tymi obluźwionymi sie kaczami. Albo chciała, żeby jej pomagał w układaniu łamigłówek z kolorowym krajobrazem jesiennym, chyba równie bogatym, co widoczek, jaki mi kiedyś przysłała z Kalifornii. Kiedy znalazłem i układałem jakieś dobre części, ona odbierała mi je mówiąc, że są niedobre, że nie pasują. Robiła się wtedy jakaś złośliwa. Z wielkim taktem musiałem wtedy tak jej podsunąć właściwie składniki, żeby odniosła wrażenie, że sama je dobrała. W przeciwnym razie stała się jeszcze bardziej rozdrażniona i kawałek po kawałku demontowała wszystko na powrót. Przed końcem roku była całkiem lysa. To się nawet zgadzało z wyglądem jej okrągłej, nabrzmiałej twarzy. Półdebelna macierz, która zdaje się uśmieczać, bo jest na pół ślepa. Ale ona była tym przerażona. Nie wiedziała, gdzie ma się podziać. Za każdym razem, gdy przychodziłem, najchętniej naciągła sobie poduszkę na głowę. Dla tego, uzgodniwszy to przedtem z lekarzem, kupiłem jej perukę. Pożytyłem na ten cel sześćset guldenów, które zdołałem spłacić dopiero rok po jej śmierci. Była bardziej płomiennie ruda niż jej dawne włosy. Nie posiadała się ze szczęścia. Pierwszego dnia kiedy ją miała na głowie, bez ustanku muskała ją dłońmi. Ale wyglądała w niej szkaradnie. To było coś przerażającego. Bo nie było po niej widać, że jest chora. Więc to tak, jakby zawsze właśnie tak wyglądała. Jak nadęta złośliwa księżniczka z bajki. Jadowna i kłamliwa przyrodnia siostra Kopciuszka. A kiedy jej się przekrzywiła, wyglądała tak głupkowato, że mogłem jednocześnie śmiać się i płakać. Opowiadała coraz więcej historii, które, jak podejrzewałem, były zmyśnione. Ze ten jej Amerykanin ją regularnie bił. Za każdym razem, kiedy gdzieś byli i on uważał, że z kimś flirtowała, dawał jej w domu w przedpokoju z całej siły pięścią po głowie. Dlatego teraz jest taka chora. I zawsze gdy dokądś wyjeżdżał, notował sobie stan licznika samochodu. I potem musiała się wyliczać z każdego kilometra. Kiedyś, jak byli pijani, rozebrał ją i nakładał jej do p... kostek lodu. Mało nie wyskoczyła przez okno na te chatki Arabów, tak nieznosiła jej palilo i drażniło. A kiedy indziej opowiadała coś o mnie, jakby całkiem zapomniawszy, że przy niej siedzę. Ze kazałem jej godzinami obok siebie je chać na rowerze. Póki zmęczona nie upadła razem z rowerem w trawę przy drodze. I zawsze kazałem jej wykradać różę z kwietników, więc miewała zakrwawione czubki palców od różnych kołców. Bała się śmiertelnie, że ją przyłapią. Ale po pewnym czasie skończyły się nawet kłamstwa i fantazjowania. Nie mogłem dla niej nie więcej zrobić, jak tylko jej coś poczytać. Były jakie głupoty z Libelle. Było wszystko jedno gdzie zacząć. Gdy na chwilę przerwałem, czasem coś powiedziała. Było to coraz bardziej bez ładu i składu, ale niekiedy domyślałem się, że coś próbuje wspominać. Kiedy do niej docierało, kim jestem. A pewnego razu powiedziała mi stąd ni zowąd: „Jeżeli w połowie sierpnia robi się nagle zimno, wszystko staje się chaotyczne”. Niedługo potem wszystko się urwało. Nic już nie widziała. Prawie nie mogła mówić. Oczy wychodziły z orbit, jakby je coś wypychało od tyłu. Zrobiła się jeszcze grubsza i bardziej nałanana. Ale wciąż przynosiłem jej kwiaty. Bardziej dla pielęgniarzy niż dla niej. Nie mogłem tak po prostu bezwstydnie przestać tylko dlatego, że i tak już nie widziała. Gdy przekraczałem jej próg, ogarniało mnie takie duszące niepokieszenie, że miałem ochotę wpaść jak Oliver Hardy, wstydliwie i nieokrzesanie rozbawiony, i z całej siły zawołać: „Aloha babe!” A potem wyskoczyć z nią przez tę szybę i gazy, i na bukiecie róż jak na spadochronie przesyłować nad pączkami kasztanami. Z nią, czarami na mo wrót odmienioną w dziewczynę moich marzeń. Kiedy przyszedłem po południu jednego z pierwszych dni wiosny, nie żyła. Umarła poprzedniego dnia wieczorem. Lekarz powiedział, że nie powinienem sobie robić żadnych wyrzutów. Zrobiłem, co mogłem. Podziwiali mnie, że zawsze przychodziłem punktualnie i nigdy nie wychodziłem przed czasem. Również, kiedy mojej obecności już musiała nie zauważać. Powiedziała, że to wiele dla niej znaczyło. Ze musiałem jej ogromnie uszczęśliwić tą peruką, bo kiedy umierała, przyciskała ją do głowy obiema rękami. Kiedy widziałem ją ostatni raz — nie była bardziej odpychająca niż u samego schyłku — lekarz, który wracał ze mną, zapytał, czy może ma zatrzęsnąć dla mnie perukę, bo zaraz będą ją składać do trumny i odwozić do krematorium w Velzen. Powiedziałem, żeby ją miała na głowie. Ze sama tak chciała.

RACHAŁ LUKUM

Jan Wolkers

(12)



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

mi długimi jak u Venus Boticelego. Taka piękna jak niedgdy. Jakby odrzuciła się w dawnej chwale. Dopiero kiedy odłożyłem słuchawkę — ustaliwszy jeszcze dokładne godziny odwiedzin, ponieważ nie chciałem w żadnym wypadku spotkać tej ropuchy, o czym zresztą jej powiedziałem — zauważyłem dziwnie stywną obecność oczu w głowie. A może wszystko, co nawczyła przez te ostatnie lata, od nagłej ucieczki ode mnie aż po ostatnie wojaże nad Zatką Perską — może to było przez tę bezbarwną bulwę, która swoimi pasożytniczymi korzeniami naruszyła mózg. Przypomniał mi się jej nieruchomy wzrok nad książką niedługo zanim ode mnie na zawsze odeszła. Teraz po wszystkich mogło się wydawać, że wtedy nasłuchiwała, co dzieje się tam w środku. A potem w panice uciekała przed czymś, czego sama nie rozumiała, co jednak nosiła ze sobą. Wszędzie. Nierozdzielnie jak cień. Po tamtej rozmowie telefonicznej zadzwoniłem natychmiast do przyjaciela internisty. „Tamtą twoją rudą, jeszcze z dawna? Szkoda”. Powiedział, że nie się na to nie poradzi. Może mi otwarcie powiedzieć, bo przecież nie mnie już z nią nie łączy. Ze owszem, próbują po powstrzymać naswietlaniem, ale to tylko odracanie egzekucji. Bo korzenie tam pozostają. I u jednego potrwa to pięć lat, póki to znowu nie zacznie rosnąć, u innego wszystko idzie na marne po paru miesiącach. Usłyszałem od niego, co już i tak wiedziałem. Ze to ją zabija. Ze nie ma dla niej ratunku. I powtarzałem to sobie, gdy po

sane pod reprodukcją różę na ścianie naprzeciw niej. Rosa turbinata. Ale teraz widziała tylko szare plamy. Nie pozwolił jej czytać, powiedział, że to zbyt męczące. Ale w zeszłym tygodniu matka miała ze sobą Libelle. W tajemnicy schowała ją sobie pod poduszkę. Kiedy później próbowała coś przeczytać, musiała co chwilę wracać i zaczynać od nowa, bo po paru zdaniach zapominała, co było na początku. A czasem po prostu nie rozumiała, co było napisane. Więc sylabizowała słowa jak dziecko w szkole. Naraz zapytała, jak się miewa kot. Opowiedziałem jej nie tylko, co jest z nim teraz, ale też jak mu było przez cały czas, odkąd jej zabrakło. Ze na początku wciąż biegał do drzwi, gdy było słychać wysokie obcasy. Ze wszędzie jej szukał po domu. Zaczęła płakać i powiedziała, że tamto je dno małe, które wtenczas sama wyciągnęła z rozdartej kotki, to jedyne stworzenie, które naprawdę było jej. Przysunąłem krzesło bliżej łóżka, otoczyłem ją ramieniem i powiedziałem, że kiedy lepiej się poczuje, pójdziemy razem go obejrzeć. Skinęła, ale płakała dalej. Położyłem rękę na jej wilgotnym policzku i przytuliłem do siebie głowę. Prziesiedzieliśmy tak, dopóki nie wpa dla rozbawiona pielęgniarzka, mówiąc, tak jakby to była izba porodowa, że minęła pora wizyt. I

(Na tym kończymy druk fragmentów prozy wybitnego holenderskiego pisarza, w przekładzie Andrzeja Dąbrowski, przygotowywanej do wydania przez PW „ISKRY”).

Dzieci KOSMOSU

Wieczorne niebo usiane gwiazdami, z widoczną niekiedy mleczną drogą i rysującymi się wyraźnie znakami Wielkiego Wozu czy Wielkiej Niedźwiedzicy, zawsze fascynowało ludzi. Patrząc na tajemnicze, tak bardzo odległe od Ziemi sklepienie — które przecież nie jest sklepieniem, o czym wiemy, człowiek wydaje się sobie mały i nieważny. Pokornie wobec ogromu Kosmosu i jego niezbadanych tajemnic. Chce wierzyć, że gdzieś tam — wysoko, wśród migoczących punkcików, świeci jego gwiazda, oczywiście — dobra gwiazda!



SPÓD ZNAKU PANNY

Twoje przyzwanie na świat przypało w okresie między 24 sierpnia, a 23 września, gdy na niebie panował znak Zodiaku zwany Panną, podlegający planetom Merkury, Panna, oraz ze znakami Byka i Koziorożca, należy do Trygonu Ziemińskiego. Twoim żywiołem jest więc — Ziemia.

Panna, jako znak wybitnie damski, działa szczególnie silnie na osoby płci żeńskiej. Wpływ pozytywny tego znaku uwewnętrznia się przede wszystkim pracowitością, czystością i skromnością — oraz dokładnością tak wielką, że niemal analityczną.

Przy kobiecie spod znaku Panny można być spokojnym o takie sprawy, jak np. informacja w podróży. Pani taka zawsze bardzo dokładnie przestudiuje rozkład jazdy, cennik, wszelkie przepisy — i wszystko zapamięta. Nie mówię już o tym, że wcześniej przygotuje bagaż i każdy szczegół potrzebny do drogi.

Jest konkretna, rzeczowa i wiarygodna. Wierne! Jednakże do wierności skłania ją nie tyle serce, co rozum i charakter. Wierność Panny, dochowywana mężowi i rodzinie, wypływa nie tyle z miłości, co z wrodzonej akurtności i odpowiedzialności. To chyba dobrze? Cechy takie w dzisiejszym świecie powinny być cenione!

Jesteś — Panno — punktualna, czasem aż do przesady, i tego samego wymagasz od innych (także czasem z przesadą). Rzadko się zapominasz, zazwyczaj bywasz bardzo trzeźwa. Nie lubisz zapominać o swych obowiązkach, zarówno dotyczących spraw zawodowych, jak do mówych i rodzinnych.

Trzeźwość sądów oraz nieustanne i realne dokonywanie oceny sytuacji, w jakiej się znajdujesz, pozwala Ci regulować potrzeby serca (bo przecież mówisz takowe!) i w dużym stopniu nagiąć je do rzeczywistości. Rzadko ulegasz nastrojom, nie pozwalasz sobie na marzenia, unikasz bujania w obłokach. Wszystko musi być wokół Ciebie zaplanowane, zbadane, realne, na miarę możliwości.

Na świat patrzysz krytycznie. Twój entuzjazm i Twoje radości zawsze są umiarkowane. Do zjawisk nowych odnosisz się sceptycznie. Taka postawa wzbudza na ogół poważanie w środowisku. Możną Cię niektórzy nie lubić, ale mówią: „Jeśli ona ma zastrzeżenia, to zapewne dobrze zna sprawę!”

Być może także dlatego (poza pracowitością) Panny cieszą się dobrą opinią w pracy. Jednak nie posiadając w najmniejszym nawet stopniu cech przywódczych, nie ujawniają energii i unikają jak ognia wszelkiego ryzyka, pozostają Panny całymi latami na skromnych stanowiskach, a ich awanse zawodowe nie sięgają raczej wysokich pułapów.

Znak Panny obdarzył Cię kilkoma cechami, które utrudniają Ci współżycie z ludźmi. Otóż z twórczego i pożądanego w życiu krytycyzmu, łatwo wpadasz w złośliwe krytykanctwo. Niezależnie od tego, czy jesteś młodą dziewczyną czy starszą panią, szybko potrafisz przejść do rzeczy i w przyszłości, gderliwą „ciotkę na kanapie”, której z zasadą nikt i nie się nie podoba, i która wszystkim wszystkim ma za złe.

Oszłość, którą wykazywałeś w sobie z biegiem lat, sprawia, że trudno

Ci jest znaleźć sobie partnera. Kobiety spod znaku Panny często nie tyle z wyboru, co z konieczności zostają starymi pannami. I siedzą sobie samotnie w swych wysprzątniętych do nieprawdopodobieństwa mieszkaniach, wśród starannie i niewzruszenie poukładanych przedmiotów i wypucowanych, lśniących naczyń. Pedanteria tak niezbędna w niektórych pracach zawodowych, w życiu codziennym i kontaktach z ludźmi jest czymś szalenie dręczącym. Życie z pedantką, która wciąż biega ze szczytką w ręce, tropiąc niewidzialny kurz, która nie wypuszcza męża za próg pokoju inaczej, niż w skarpetkach, i która zmusza go do zjedzenia do końca nie lubianej przez niego potrawy, „bo szkoda wyrzucić” — to prawdziwy koszmar. Pamiętaj o tym, Panno.

Cechą negatywną jest w Pannie narastająca z wiekiem marudność. Chłodna, praktyczna, zawsze mająca rację, godzinami wytykająca czyjeś bałaganierstwo, rozrzućność czy nieścisłość, godzinami gadająca nie wiadomo o czym... Któż to jest? Nie poznajesz? To właśnie Ty! Jeśli nawet jeszcze taką się nie stałaś, to jesteś na dobrej drodze. Uważaj!

Merkury jest imieniem boga rzymskiego, któremu, zgodnie z wolą Zeusa, przypadała rola, najogólniej mówiąc — posłańca przekazującego informacje z Olimpu na Ziemię, i odwrotnie. (W mitologii greckiej od powiednikiem Merkurego jest Hermes). Planeta nazwana imieniem Merkurego wywiera pozytywny wpływ na spostrzegawczość człowieka, jego praktyczność, logiczne myślenie, spryt, elokwencję, dociekliwość — i dokładność.

Działając negatywnie Merkury wzmacnia w człowieku nerwowość, jednostronność w osądach i powierzchowność. Elokwencję zamienia w gadulstwo, spryt w przebiegłość, logikę w zimny cynizm.

Teraz o tym, co daje Ci przynależność do Trygonu Ziemińskiego. Czym jest Ziemia? Symbolem niewzruszalności, opoka. Podstawą, na której człowiek buduje wszystko, co materialne. Ziemia, to stabilizacja, pewność, spokój. Prawda, że zdarza się, iż wszystko, co człowiek w trudzie zbudował, w kilka chwil jest niszczone za sprawą nieoczekiwanych ruchów ziemskich. I właśnie niejako domeną i przeznaczeniem znaków Zodiaku wchodzących w skład Trygonu Ziemińskiego, czyli Panny, Byka i Koziorożca, jest cierpliwa odbudowa oraz budowa! Stabilne, uparte, systematyczne dążenie do celu, aż do jego całkowitego osiągnięcia. O ile zadaniem Byka jest symboliczne ustalanie własności, Koziorożca organizowanie struktur i form, to do Panny należy krytyczna i twórcza ocena.

Panie spod znaku Panny, jak mówię, mówią trudności ze znalezieniem partnerów na całe życie. Z drugiej jednak strony wpływ żywiołu Ziemi nie wróży im większych konfliktów z osobami urodzonymi pod jakimkolwiek znakiem Zodiaku. Poważniejsze sprzeczności mogą wystąpić jedynie w związku Panny z Baranem, Lwem lub Strzelcem. Są to znaki ogniste, a ogień z ziemią — owszem, mogą współistnieć, ale tylko przy zachowaniu wyjątkowej harmonii i nieustannej, wzajemnej stymulacji.

Bardzo dobre związki — zgodne i długie — są, gdy np. pan pochodzi spod znaku Panny (Byka lub Koziorożca), a pan spod Raka, Skorpiona lub Ryb (są to znaki wodne). Ziemia z wodą nawzajem się uzupełniają, tworzą nową egzystencję nie słychanie pożyteczną. Także związek Panny (Byka lub Koziorożca), z którym z znaków powietrznych (Waga, Wodnik, Bliźnięta) pozwala słuchać dobre prognozy. I na koniec: odradzałabym łączenie się na całe życie osobom pochodzącym spod tych samych znaków ziemskich, gdyż ziemia z ziemią — podobnie, jak ogień z ogniem, nie wydaje się mariażem zbyt owocnym.

W następnym numerze „Nadodrz” — odcinek dla mężczyzn urodzonych pod znakiem Panny, w okresie od 24 sierpnia do 23 września, pod wpływem planety Merkury, w zasięgu Trygonu Ziemińskiego. Kto chce, niech czyta, zapraszamy!

EWA FOSS

POŻYTAJ

W Paryżu pojawiły się chwilowe braki w zaopatrzeniu. Brakowało między innymi cukru, sera, mięsa, tłuszczu. Maria Antonina, de domo Habsburg, dowiedziawszy się, że brakuje również chleba, powiedziała miała, że w zaistniałej sytuacji Paryżanie jeszcze powinni ciastka. Rozwścieczony lud ruszył na Bastylie, rozebrał kamień po kamieniu, zaś kilku cwaniaków dorobiło się fortunę przerabiając w ten sposób pozyskane materiały budowlane na okolicznościowe suweniry. Co się potem wydarzyło, jest nam przypominać teraz z inicjatywą podjętą przez prezydenta Mitterranda, a popartej przez grono chłuturszczyków w różnych krajach. Jako jeden z nich, pragnę przypomnieć, że Maria Antonina, wdowa Capet, niezupełnie dobrowolnie, ale jednak, skorzystała ze zwycięstwa hasła wolności, równości i braterstwa. Godnie weszła na szafot, prawami równa mężczyznom — Dantonowi, Robespierrowi.

Otóż w Zielonej Górze, dwieście lat później, również zabrakło — chwilowo — cukru, twarogu, mięsa i tłuszczu. Z chlebem również było coś nie tak jak trzeba. Ciastka w asortymencie słonych paluszków, co jest świadectwem nieodbytych zebrań i posiedzeń, po cenie komercyjnej, można było dostać w kilku delikatesowych placówkach, bufecie Komitetu Wojewódzkiego, etc. Braki, chwilowe, na rynku, potraktowałem nader poważnie, jako sygnał dający początek wielkim historycznym wydarzeniom. Popatrzyłem na ludzi, jako na aktorów przyszłego dramatu. Marii Antoniny, niestety, nie znalazłem. Moja żona zupełnie do tej roli nie pasuje. Pochodzenie nie takie. W ciastkach nie gustuje. Zajął się polowaniem na prakę „Wiatka”, co jest przyszłościowe, zupełnie nie chciała, nawet w sensie teoretycznym przewidywać swojego zachowania podczas wchodzenia pod gilotynę. — Nie wyglupiaj się, stary durniu! — powiedziała, gdy zapytałem ją, jak czułaby się w ostatnich chwilach królowej. — Idę do fryzjera, a ty skocz do kiosku po kakaflora. I nie pękaj!

Sytuacja rewolucyjna w Zielonej Górze nie dojrzała. W drodze po kakaflora, patrzyłem „na różne mijane budynki,

jako na obiekt, który mógłby być miejscową Bastylią. Usprawiedliwiło mnie i to, że autentyczna Bastylia zburzona przed dwustu laty w Paryżu, na symbol absolutyzmu się nie nadawała. Nieliczne grono osobistych więźniów króla mogło mieć w celi własną książkę, przybory piśmienne, mając pieniądze układać i realizować jadłospis. Ło kal „Pod orłem” przy ulicy Sikorskiego mógłby od biedy być tym, który to stanie zburzony w rezultacie bohaterstwa szturmów ludu. Tylko, po co to czynić? Buda i tak się rozsypie sama przez się. — W imię czego marnować energię? — zapytał stary cinkciarz, który przerwał konsumowanie wódki Smirnoff w barze.

Rewolucyjne nastroje odnalazłem dopiero wieczorem podczas odbioru programów telewizyjnych. Więści o strajkach kierowców autobusów, listonoszy, kolejarzy pociągów podmiejskich, były przerywką do transmisji z ulicy Wilejskiej w Warszawie. Przystojny mec. Piotrowski w roli senatora (Robespierre też był adwokatem), mec. Zych w roli pośła, izba wyższa i niższa, ze względu na dworskie obyczaje panujące podczas obrad, przypomina raczej dysputy arystokratów w Wersalu, aniżeli wysoką temperaturę obrad klubu Jakobinów.

Wizerunków przyszłych królobójców dostarczył mi dopiero tak zwane kontakty z życiem. Pani w kolejkę po wódkę w czterdziestej minucie stania, wyrażnie się zdenerwowała. Do k... nędzy — rzekła — niech ktoś wreszcie w tym burdelu zrobi porządek. — A kto to ma zrobić? — zapytała, kątem oka śledząc tądzy-pao w witrynie „Solidarności”. — Oni tego nie zrobią — powiedziała. Tu potrzebne są zyski do kopańki kamieniolomów! Potrzebny jest Feliks Edmundowicz!

— Nie Dzierżyński tu nie robi — włączył się w dyskusję emerytowany nauczyciel akademicki. — Jako historyk powiedzieć mogę, że przymus administracyjny jest bardzo złą metodą podnoszenia wydajności pracy. Już w starożytnym Egipcie — chciał wyraźnie rozwinąć trapiącą go myśl, ale pani z brylantem niegrzecznie mu przerwała. — Batogiem, pała lano po dupach i dzięki temu, dżiś, za drogie pieniądze,

wozi się nas na oglądanie piramid. — Ot, współczesna mi, zielonogórska Jakobinka, tęskniąca za F.E.D. i kamieniolomami. Z jakiej jednak ona pozycji występuje: lewicowej? prawicowej? Jakobinka — Wandejka? — tego jeszcze nie było.

W naszym małym mieście spotkałem też Szalonego Majora. Chce się dorwać do pistoletów maszynowych. Obiecuje, że w ciągu paru godzin zrobi zasadniczą czystkę i porządek. Jest jednak na emeryturze. W szeregach emerytów jacobinские nastroje występują dość licznie. Są nawet charakterystycznym symptomem emerytalności. Są to kombatanci walki o władzę ludową, jej budowniczości. Jakobini z pozycji lewicowych, kandydaci na Robespierrow, Maratów i Dantonów, przygotowują się do swoich misji historycznych, o paradoksie! z pozycji właśnie wandejskich. Spotkałem znajomego, który znany był z tego, że ma dobrze ułożone w głowie. — Słuchaj, powiada, co ty w tym NADODRZU wypisujesz? Przecież twoje teksty to przejaw klasycznej betonowej. Jeśli nie przestaniesz tak pisać, moć czuć pióro w atramentie komuny, to twój talent jest skończony. Przestanę ci kupować i czytać. Drugi Jakobin, wypisujący małe co nieco, uderzył z dużej rury. Dowiedziawszy się, że w moich poglądach na świat nadal jest czerwono, chciał zwyciężać, bez przyczyny, tak po prostu lać w morze.

Otóż jacobinizm, taki jaki obecnie jest — szuano — jacobinizm rodem z lewicy, jacobinizm po stronie „Solidarności”, jest totalitarny, nietolerancyjny dla każdego odmiennego poglądu. U nas dodatkowo emanuje chamstwem. W świecie proponowanym przez ekstrę me, bo i tak można określić moich znajomych jacobinów, że by się żyło garbatym, chorym, beduinom filozoficznym, materialistom i idealistom, wszystkim, którzy chcą mieć wartość niezbywalną — swoją własną postawę. Trzeba też pamiętać, że wielka rewolucja, która wybuchła w Paryżu dwieście lat temu, uczyniła ze skromnego, lecz ambិតego porucznika artylerii cesarza. Podczas ataku na Bastylie siedział na koszarowym wikie w Tulonie.

RYSZARD ROWIŃSKI

Muzykobandia

* **BARBRA STREISAND** — aktorka i piosenkarka, o sobie: „Dochodzę do wniosku, że mimo swoich 46 lat wciąż pozostaję dzieckiem. Podstarzałym co prawda, ale dzieckiem, zbyt naiwnym, zbyt ufnym i zbyt wrażliwym... Piosenka, to rola, w teatrze, który otwiera się na trzy minuty. Dziecko, które jest we mnie, cieszy się tym krótkim czasem. Ale kobiecie to nie wystarczy. Próbuję wyleczyć się z tej dziecinności. Postanowiłam odejść z tego „teatru”. Zrezygnować z recitali. Zająć się czymś większym. Czym, jeszcze nie wiem. Spróbuję...”

* **JULIO IGLESIAS** — pożeracz serc niewieścich, nazywany „Super Latin Lover”, lat 45, lubiący otaczać się pięknymi kobietami — coraz innymi, najchętniej blondynkami (choć trafiają się i czarne), podobno utrzymuje w swym „sztabie” specjalnego pracownika nazwiskiem Dino Telami, zajmującego się wypatrywaniem i łowieniem piękności w różnych krajach, a następnie dostarczaniem ich przed oblicze szefa (także odstawianiem z powrotem!), który — jak to niekiedy wyznaje prasie — wciąż poszukuje prawdziwej miłości.

* **MACEJA KOŁEŚNIKA** — popularnego przed laty wykonawcę przebo-

ju pt. „Komu piosenkę” odkrył na nowo tygodnik „Kulisy”, drukując wywiad z tym piosenkarzem, który — jak się okazuje — nadal cieszy się dobrą kondycją artystyczną i obecnie jeździ po kraju z recitalem zatytułowanym „Przeboje z tamtych lat”, a towarzyszy mu na organach kompozytor Wojciech Piętoski.

* **ISABEL VON KARAJAN** — córka niedawno zmarłego słynnego dyrygenta Herberta von Karajana, która zadebiutowała przed sześciu laty rolą Margarety w „Faustie” Goethego i odtąd występowała pod nazwiskiem matki — jako Isabel Mouret z trudem torując sobie drogę artystyczną bez poparcia wielkiego taty. Obecnie postanowiła używać jego nazwiska, zwłaszcza, że będąc wszechstronnie wykształconą (taniec, sztuka dramatyczna, śpiew) odnoś sukcesy w wiedeńskiej grupie kierowanej przez Georgesa Tabori, a ostatnio zbiera duże oklaski w Stuttgarcie, gdzie gościnnie kreuje postać księżniczki Eboli w „Don Carlosie” Schillera.

* **WALERY LEONTIEW** — radziecki piosenkarz, (poznaliśmy go przed kilku laty w Zielonej Górze, a potem podziwialiśmy na festiwalu w Sopocie), syn wiejskiego weterynarza w małej republice autonomicznej Komi, nim szczerliwym trafem dostał się w 1979 roku na festiwal piosenkarzy w Jalcie, imai się różnych zawodów, toteż ma, jak twierdzi, niejedno gorzkie doświadczenie, i stąd uważa, że człowiek chcąc osiągnąć sukces, musi do niego zmierzać poprzez trudności i przeszkody, a gdy

tych przeszkód i trudności nie ma — powinien je stworzyć; marzeniem Leonarda jest założenie własnego teatru i wystawienie w nim spektaklu „o sile ludzkiego umysłu i wierności ideałom” czyli o swym ulubionym bohaterze (jest nim Giordano Bruno).

* **LIZA MINELLI** — śpiewająca i tańcząca aktorka, córka pięknej, sławnej, legendarnej już dziś Judy Garland, niezapomniana bohaterka filmów „Kabaret” i „Nev York, Nev York”, po niezbitych udanych trzech związkach (z aktorem Peterem Allenem, kompozytorem Jackiem Haley'em i rzeźbiarzem Markiem Geroy) oraz po kuracjach odwykowych w klinice Betty Ford (alkohol, narkotyczne środki nasenne), oświadczyła, że teraz, mając 42 lata, chciałaby zostać matką — jak Mia Farrow, Merry Streep i Ursula Andress, a na razie jest matką chrestną aż piętnastorga dzieci, oczywiście cudzych.

* **WIESŁAW OCHMAN** — znakomity polski tenor, znany na największych scenach świata — od Carnegie Hall po Metropolitan Opera, z wykształcenia także magister-inżynier ceramik, od najmłodszych lat maluje i niedawno w Galerii Desy przy ul. Koszykowej w Warszawie zdecydował się, jak powiedział — za namową swego przyjaciela aktora Leonarda Pietraszaka oraz z jego inicjatywą, wystawić swoje prace, przy czym wyznał, że pozostaje pod dużym wpływem prof. Czesława Rzepińskiego, a maluje po prostu to, co go wzrusza.

ATA

camera filatelistica



Z inicjatywy Zarządu Głównego Polskiego Związku Filatelistów, nakładem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie, wydane zostało opracowanie Stefana Jakubowicza „Techniki drukowania znaczków pocztowych”. Książka składa się z 3 podstawowych rozdziałów obejmujących druk wypukły, druk płaski i druk wklęsły. W rozdziale pierwszym omówiono techniki drukowania typograficznego, drzeworyt, linoryt. W następ-

Druk znaczków pocztowych

nym litografie, offset, światłodruk, zaś w ostatnim staloryt, miedzioryt, mezzotintę, heliografię, wklęsłodruk rastrowy. Ponadto autor omawia techniki kombinowane, poligraficzne procesy wykończeniowe, próby, błędy, makulaturę, rozpoznawanie poszczególnych technik drukarskich itp., a całość uzupełnia słownikiem terminów poligraficznych, wykazem bibliografii i indeksem rzeczowym. Blisko 150 ilustracji (rysunki i reprodukcje) uzupełnia i wzbogaca to opracowanie.

Zbieracze znaczków pocztowych otrzymali fundamentalną pracę będącą zarazem przeglądem rozwoju współczesnej poligrafii. Książka ta ukazała się, niestety, w niskim nakładzie (2.000 sztuk) i jest rozprzedana w obgu zamkniętym za pośrednictwem poszczególnych zarządów okręgów PZF. Wina o to ma być w bibliotece krad-

go zbieracza, na pewno w bibliotece publicznej. Zainteresowani tym wydawnictwem mogą zgłaszać swoje zamówienia bezpośrednio do: Zarząd Okręgu PZF — Gorzów Wlkp. ul. Wł. Łokietka nr 47 lub Zarząd Okręgu PZF — Zielona Góra pl. B. Stalingradu nr 13.

M. Sławomir

Poczta Szwecji zabiegająca o jak najliczniejszą klientelę wydała ostatnio bogato ilustrowany album zawierający 13 niestemplowanych znaczków przedstawiających ptaki. Obok znaczków znajdują się krótkie notki dotyczące poszczególnych ptaków. Nominalna wartość znaczków wynosi 77 kr, a cały album tylko 95 kr. Reprodukujemy z ostatniej serii „Zwierzęta w zagrożonym środowisku” dwie wartości.

16. VIII – ŚRODA

PROGRAM I

- 8.50 „Domator” — Siodko i kolorowo
9.00 Telewizyjny Najmłodszy — Zgadywanie na ekranie
9.30 Kino Teleferii: „Legenda o zartowniszu zwanym Kurento”, cz. 1 — serial prod. jugoslawijskiej
10.10 „Sion” — film fab. prod. węgierskiej
10.30 Losowanie Express i Super Lotka
10.50 Telewizyjny informator wydawniczy
11.30 „Polskie drogi” (6) „Bocznica” — s. 12
11.50 Dobranoc „Kolorowy świat Pacyka”
12.10 „Bocznymi drogami”
20.05 XXVI Międzynarodowy Festiwal Muzyki — Sopot '89 — Estrady świata, cz. 1
21.35 Dt — Echa dnia
22.05 XXVI Międzynarodowy Festiwal Muzyki — Sopot '89 — Estrady świata, cz. 2

PROGRAM II

- 17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 „Świat festynów”
19.00 „W labiryncie” (33) — serial TP
19.30 „Księża piramidy” — rep. z Egiptu
20.00 Studio Sport — Mityng lekkoatletyczny Grand Prix z Zurichu w przerwie, ok.:
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Sport — Mityng Lekkoatletyczny Grand Prix z Zurichu
23.15 „Telewizja nocą”
24.00 Komentarz dnia

17. VIII – CZWARTEK

PROGRAM I

- 8.50 „Domator” — Siodko i kolorowo
9.00 Kino Teleferii: „Zaczarowany kraj” (2) — film fab. prod. radzieckiej
10.10 „Halo, przytulajcie prababcia” — komedia prod. rumuńskiej
16.45 „Noc i mgła” — woj. mag. histor.
17.25 „Polskie drogi” (7) „Lekcja poloneza” — serial TP
19.00 Dobranoc „Cypisek — syn rozbójnika Rumcajsa”
19.10 „Teraz” — Tygodnik gospodarczy
20.05 XXVI Międzynarodowy Festiwal Muzyki — Sopot '89 — Promocja polska, cz. 1
22.05 Dt — Echa dnia
22.25 XXVI Międzynarodowy Festiwal Muzyki — Sopot '89 — Promocja polska, cz. 2

PROGRAM II

- 17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 „Strachy na Lachy” — serial anim. prod. angielskiej
19.00 Magazyn „102”
19.30 „Świat roślin” (8) — „Dary woń i smaczne” — s. przyrod. prod. CSRS
20.00 Studio Sport — Wielki tenis
21.00 „Ekspres reporterów”
21.45 Studio Teatrálne „Dwójki” Jean Cau „Litós Boga” tłum. Krystyna Dolańska, reż. i adapt. Maciej Englert, wyk.: Jerzy Nowak, Jerzy Radziwiłowicz, Jerzy Stuhr, Jerzy Trela, Ferdynand Wójcik
23.15 Komentarz dnia

18. VIII – PIĄTEK

PROGRAM I

- 8.50 „Domator” — Siodko i kolorowo
9.00 Zielone Teleferie
9.30 Kino Teleferii: „Arabella” — ode „Perypetie z pierścieniem” — serial prod. CSRS
10.10 Dt — Dodatek gospodarczy
10.25 „Sześciu wydarzeni” — film fab. prod. NRD
16.10 „Domator” — Przed weekendem
17.50 „Polskie drogi” (8) „Bez przydziału” — serial TP
19.00 Dobranoc „Przygody Gapulki”
19.10 Monitor rządowy
20.05 XXVI Międzynarodowy Festiwal Muzyki — Sopot '89 — Konkurs o Grand Prix, cz. 1
22.35 Dt — Echa dnia
22.50 XXVI Międzynarodowy Festiwal Muzyki — Sopot '89 — Konkurs o Grand Prix, cz. 2

PROGRAM II

- 17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 „Wzrockowa lista przebojów Marka Niedzwieckiego”
19.00 „Konwój”
19.30 „Dookoła świata” — W Kapadocji
20.00 „Piątek” — Krakowski przekładaniec kulturalny
21.45 Filmy z Humphreym Bogartem „Wielki sen” — film fab. prod. USA, reż. Howard Hawks, wyk.: Lauren Bacall, John Ridgely, Martha Vickers
23.35 Komentarz dnia

19. VIII – SOBOTA

PROGRAM I

- 8.00 „Na zdrowie” — pr. rekreacyjny
9.00 Kino Teleferii: „Przygody dobrodusznego smoka” — s. prod. węg. i „Siedem tydzień” — serial TP
10.40 „Stare, nowe, najnowsze”
11.20 „Zdrowie”: Choroby dermatologiczne
12.05 Wydzieranie morzu, czyli rolnictwo holenderskie
12.35 Telewizja prowincja
13.20 Telewizyjny Teatr Prozy: Z cyklu „Mówi Chandler” — „Tajemnica jeźdźcy” reż. Mariusz Malinowski, wyk.: T. Huk, K. Majchrzak, K. Straszburger, E. Kijowska, E. Blaszczyk, E. Kamiński
14.35 „Polaków pomnik własny” — rep.
15.05 Komedia, komedia, komedia „Seks-misja” — film prod. pol. reż. Juliusz Machulski, wyk.: J. Stuhr, O. Łuka szewicz, B. Tyszkiewicz i inni
17.05 Losowanie Dużego Lotka

- 17.30 „Babilon” — film dok. Józefa Gębskiego
18.00 „Polityka, politycy” — Bendzedid szadli
18.30 „Butik” — pr. Grażyny Szczepniak
19.00 Dobranoc „Przygód kilka wróbla Cwirka”
19.10 „Z kamera wśród zwierząt”
20.05 XXVI Międzynarodowy Festiwal Muzyki — Sopot '89: Gala (1)
21.45 „Tydzień w polityce”
21.55 Telewizyjny przegląd sportowy
22.05 XXVI Międzynarodowy Festiwal Muzyki — Sopot '89: Gala (2)

PROGRAM II

- 13.15 Konkurs 5 milionów
14.00 „W świecie ciszy”
14.25 Telewizyjny koncert życzeń
15.00 „Ordy” — „Pochodzenie pisma” — serial anim. prod. japońskiej
15.25 „Spektrum” — Nowości nauki i techniki
15.40 „Hawajska przyroda” — film dok. prod. USA
16.10 „Zielony świat: Filozofia przyrody” (2)
16.30 „Wszelobocne mięczaki” (2) — film przyrodniczy prod. RFN
16.55 „Dom XXI wieku” (2): Domowa elektryka
17.15 Konwój
18.00 Program lokalny
18.30 „Szansa” — teleturniej
19.30 Alfa i omega
20.00 Graja warszawscy kameraleści PR i TV
21.00 Studio Sport
21.45 „Chateaufallon” (15) — s. prod. franc.
22.35 Komentarz dnia

20. VIII – NIEDZIELA

PROGRAM I

- 7.05 TTR. Zajęcia wakacyjne (sem. II): Higiena pomieszczeń — pielęgnacja bydła

PROGRAM II

- 7.25 TTR. Zajęcia wakacyjne (sem. IV): Kompleksowa technologia uprawy rzepaku ozimego
7.45 „Po gospodarstwu” — mag.
8.15 „Tydzień” — mag. rolniczy
9.00 Kino Teleferii: „Krzyżacy” — cz. 2 (ost.) film prod. pol.
10.35 „Ludy Ziemi” (5): „Campas” — serial produkcji hiszpańskiej
11.35 „Kraj za miastem”
12.05 Telewizyjny koncert życzeń
12.50 „Było, minęło, nie wróci” — film dok.
13.30 Marek Sierocki zaprasza
13.55 „Agromarket”
14.35 „Tupećki czyli nasze nawiedzenie” — Jazowe Warsztaty w Chodzieży
15.35 „Panna dziewczynka” (14) — serial prod. angielskiej
17.30 „Gdzie są taśmy z tamtych lat” — filmy z udziałem Andrzeja Rosiewicza
18.10 „Powiększenie” — fotomagazyn
18.30 Antena
19.00 Wieczorynka „Trzy misie”
20.05 „Światła kabaretów” (6) — serial prod. angielskiej
21.00 „7 dni — Świat”
21.30 Sportowa niedziela
22.30 Kinomania: Małgorzata Braunek
23.00 Telegazeta

PROGRAM II

- 11.00 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
11.35 Film dla niesłyszących: „Światła kabaretów” (16) — s. prod. angielskiej
12.30 „Magazyn lotniczy”
13.00 Lokalny koncert życzeń
13.25 „Jutro poniedziałek” — mag.
14.00 Polska Kronika Filmowa
14.10 100 pytań do...
14.50 Aktualności kulturalne — 35 lat pracy artystycznej Henryka Grychnika
15.05 Polacy: „Złota Wilga” — film dok.
16.10 „Był tutaj” — gawęda prof. W. Zina
16.50 „Kino-Okno” — Kalendarz filmowy
17.00 Konwój
17.30 Blizy świata — przegląd TV — sat.
18.00 Wywiady Ireny Dziedzic
19.30 XIII Prezentacja Malarzy Krajów Socialistycznych
20.00 Studio Sport: Piłka w grze
21.00 „Spotkanie po latach” — Laureaci festiwalu piosenki studenckiej
21.45 „Queenie” (4) — serial prod. USA-ang.
22.35 Komentarz dnia
22.40 Futurologia na dobranoc

21. VIII – PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

- 17.10 Program dnia
17.30 „Polskie drogi” (9): „Do broni” — serial TP
19.00 Dobranoc „Porwanie złotowłosej”
19.10 „Gorące linie”
20.05 Spektakl na bis: Bogusław Schaeffer — „Scenariusz dla trzech aktorów” reż. Mikołaj Grabowski, wyk. Andrzej Grabowski, Mikołaj Grabowski, Jan Peszek
21.30 Kroniki PAT — Tak było...
21.45 „Piknik Country” — Mragowo '89
22.30 „Klub Menedżera”
23.00 Dt — Echa dnia

PROGRAM II

- 17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 Przegląd PKF
19.00 Ojczyzna — polszczyzna

- 19.15 Antena „Dwójki” na najbliższy tydz.
19.30 Życie muzyczne: Orkiestra Filharmonii Śląskiej w Portugalii — rep.
20.00 Teletrans
20.30 Kierunek Berlin — reportaż
21.15 Rozmowy o cierpieniu
21.45 Biografie: „Z notatnika imigrantki (Karen Blixen) — film dok. prod. angielskiej
22.40 Komentarz dnia

22. VIII – WTOREK

PROGRAM I

- 8.50 „Domator” — Borowiki, kurki i inne
9.00 Teleferie: Wakacje z Neptunem
9.30 Kino Teleferii: „Chłopcy z naszego osiedla” (5) — serial prod. węg.
10.10 Dt — Dodatek gospodarczy
10.25 „Gdańsk '39” (2) — serial TP, Reż. Zbigniew Kuźmiński
17.30 „Polskie drogi” (10): „Himmerland” — serial TP
19.00 Dobranoc „Przygody Bączka i Pączka”
19.10 Od A do Z — publ. ekonomiczna
20.05 Gdańsk '39 (2) — serial TP, Reż. Zbigniew Kuźmiński
21.00 Kroniki PAT — Tak było...
21.15 „Narożny pokój” — Widowisko artystyczne, reż. Włodzisław Golaszewski wyk. Dorota Kamińska, Ryszard Hanin, Maciej Damiecki, Witold Pyrkosz, Jerzy Kryszak
21.55 Studio „Solidarność”
22.40 Dt — Echa dnia

PROGRAM II

- 17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 „Wojna domowa” (15): „Siła wyobraźni” — serial TP
19.30 Blisko nieba — magazyn alpinistyczny
20.00 Non stop kolor: „Woodstock” — film muz.

23. VIII – ŚRODA

PROGRAM I

- 8.50 „Domator” — Borowiki, kurki i inne
9.00 Teleferie Najmłodszych: Zgadywanie na ekranie
9.30 Kino Teleferii: „Legenda o zartowniszu zwanym Kurento” (2) — serial prod. jug.
10.10 „W zasadzie jesteśmy normalni” — komedia prod. CSRS
15.55 Podniebne orły — pr. z udz. zespołu estradowego Wojsk Lotniczych „Eskadra”
16.30 Losowanie Express i Super Lotka
16.35 Studio Sport: MS w kolarstwie szosowym
17.15 „Polskie drogi” (11 — ostatni): „W obronie własnej” — serial TP
19.00 Dobranoc „Kolorowy świat Pacyka”
19.10 „Bocznymi drogami” — reportaż
20.05 Studio Sport: Towarzyski mecz piłki nożnej. Polska — ZSRR
20.50 Kroniki PAT — Tak było... (w przerwie meczu)
21.55 „Spojrzenia” — mag. o krajach socjalistycznych
22.25 Sprawa dla reportera
23.05 Dt — Echa dnia

PROGRAM II

- 17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 „Świat festynów”
19.00 „Przeboje Teatru Muzycznego w Gdyni”
19.30 Śpiewa Janusz Borowicz (solista Opery Krakowskiej)
20.00 „Szkice rumuńskie” — dok.
21.00 „Z ziemi polskiej” — film dok.
21.45 „W labiryncie” — serial TP
22.15 Telewizja nocą
23.00 Komentarz dnia

24. VIII – CZWARTEK

PROGRAM I

- 8.50 „Domator” — Borowiki, kurki i inne
9.00 Kino Teleferii: „Złote pantofelki” — film prod. ZSRR
10.10 „Policjanci Marii” — film fab. prod. USA
16.50 „Iskra do Leningradu” — woj. pr. dokumentalny
17.30 „Z wiatrem i pod wiatr” — mag.
18.00 „Ojczyzna mojej pieśni śpiewam” — Paulos Raptis
18.50 „Bez granic”
19.00 Dobranoc „Cypisek, syn rozbójnika Rumcajsa”
19.10 „Teraz” — Tygodnik gospodarczy
20.05 „Policjanci z Miami” — film fab. prod. USA, reż. Thomas Carter, wyk. Don Johnson, Philip Michael Thomas
21.40 Kroniki PAT — Tak było...
21.55 „Pegaz”
22.45 „Zawsze po 21-szej” — program reporterów
23.25 Dt — Echa dnia

PROGRAM II

- 17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny

- 18.30 „Strachy na Lachy” — serial anim. prod. angielskiej
19.00 Magazyn „102”
19.30 „Świat roślin” (9): „Rośliny wodne” — s. przyrod. prod. CSRS
20.00 Studio Sport: Wielki tenis
21.00 „Ekspres reporterów”
21.45 „Ucieczka z Sobiboru” — film fab. prod. ang. reż. Jack Gold, wyk. Alan Arkin, Rutger Hauer, Joanna Pacula
23.00 Komentarz dnia

25. VIII – PIĄTEK

PROGRAM I

- 8.50 „Domator” — Borowiki, kurki i inne
9.00 „Zielone Teleferie”
9.30 Kino Teleferii: „Arabella” — serial prod. CSRS
10.10 Dt — Dodatek gospodarczy
10.25 „Ach, ty moja kochana” — film fab. prod. NRD
15.40 „Domator” — Przed weekendem
16.45 „Intersygnat” — mag. krajów Interwizji
17.30 Recital zespołu „Zayazd”
18.00 „Hatra” — film dok. Józefa Gębskiego
18.30 Telewizyjny informator wydawniczy
18.50 „Bez granic”
19.00 Dobranoc „Przygody Gapulki”
19.10 „Monitor rządowy”
20.05 Kino Muzyczne Kydryńskiego: „Zabawna pani” — musical prod. USA, reż. Herbert Ross, wyk.: Barbra Streisand, Jame Caan, Omar Sharif
23.30 Kroniki PAT — Tak było...
22.45 „Czas” — magazyn publicystyczny
23.15 Dt — Echa dnia

PROGRAM II

- 17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedzwieckiego

26. VIII – SOBOTA

PROGRAM I

- 8.00 „Tydzień na działce”
8.20 „Na zdrowie” — pr. rekreacyjny
8.55 Kino Teleferii: „Przygody dobrodusznego smoka” — s. prod. węg. i „Siedem tydzień” (6) — „Kłątwa bogini Bast” — serial TP
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.10 „Bellona” — wojsk. mag. publicystyczny
11.40 Telewizyjny koncert życzeń
12.10 „Plesz”
12.30 Telewizyjny Teatr Prozy: Z cyklu: „Mówi Chandler” — „Tajemnica jeźdźcy” (2) reż. Mariusz Malinowski, wyk.: T. Huk, K. Majchrzak, K. Straszburger i inni
13.35 Prezydenci: William McKinley
14.05 Komedia, komedia, komedia: „Cafe pod Minogą” — film pr. pol. reż. Bronisław Brok, wyk.: A. Dymasz, W. Jankowski, W. Skoczylas
15.35 „Polska Walcząca 1939-1945” — „Droga do wojny” (1) — pr. studyjno-filmowy
16.35 Losowanie Dużego Lotka
17.00 Studio Sport: MS w kolarstwie — wyścig indywidualny amatorów, MS w kajakarstwie, MS w zapasach w stylu klasycznym
19.00 Dobranoc: „Przygód kilka wróbla Cwirka”
19.10 „Z kamera wśród zwierząt”
20.05 Sobotni seans filmowy „Boska istota” — melodramat prod. wł. Reż. Giuseppe Patroni Griffi, wyk.: Laura Antonelli, Marcello Mastroianni
21.55 „Tydzień w polityce”
22.05 Teatr Telewizji: Jarosław Haszke „Spotkanie ze Szwecją” (6) — „Czy to pies?” Reż. Paweł Trzaska, wyk.: Roman Kłosowski, Marek Kondrat, Marcin Troński i inni
22.25 Telewizyjny przegląd sportowy
22.45 Baw się z nami w disco
23.30 Telegazeta
Kino nocne: „Prawo gwałtu” — dramat społeczno-obyczajowy, prod. ang.

PROGRAM II

- 12.15 Trzy godziny z TV Katowice
15.15 Bariery
15.40 Program dnia
15.45 Małe Kino: „Szerpowie” — film dok.
16.15 5-10-15 — pr. dla dzieci i młodzieży
17.00 Konwój
18.00 Program lokalny
18.30 „Zza kulis Sopotu” — reportaż
19.30 Program muzyczny
20.00 Studio Sport: MS w kajakarstwie, MS w zapasach w stylu klasycznym
21.00 „Barwy jazzu”
21.55 „Chateaufallon” (16) — serial prod. francuskiej
22.45 Komentarz dnia

27. VIII – NIEDZIELA

PROGRAM I

- 7.05 TTR — sem. II. Zajęcia wakac. Zapobieganie chorobom wymienia
7.25 TTR — sem. II. Zajęcia wakac. Techn. uprawy pszenicy
7.45 „Po gospodarstwu” — mag.
8.15 „Tydzień” — mag. rolniczy
8.55 Kino Teleferii: „Fantastyczna ciotka” — film prod. węg.
10.35 „Ludy Ziemi” (6) „Yanomami” — s. dok. produkcji hiszpańskiej
11.35 „Kraj za miastem”
12.05 Telewizyjny koncert życzeń
12.50 „Gdzie są taśmy z tamtych lat”
13.25 „Morze” — magazyn
13.45 „Próbując przeniknąć rytm serca pradawnego...” — program o Zenonie Kosińskim
14.10 „Pieprz i wanilia” — Nieznany kraj Jackowa
14.55 Studio Sport: MS w kajakarstwie i MS w kolarstwie
15.35 „Panna dziewczynka” (15) — serial prod. brazylijskiej
17.30 Studio Sport: MS w kolarstwie, MS w zapasach w stylu klasycznym — finały
18.40 „Antena”
19.00 Wieczorynka: „Trzy misie”
20.05 „Światła kabaretów” (7-ost) — serial prod. angielskiej
21.00 „7 dni — Świat”
21.30 Sportowa niedziela
22.30 Kinomania
23.05 Telegazeta

PROGRAM II

- 11.25 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
12.00 Film dla niesłyszących: „Światła kabaretów” (7-ost) — s. prod. ang.
12.55 „Bronili polskiego nieba” — woj. pr. dok.
13.25 „Jutro poniedziałek”
14.00 Polska Kronika Filmowa
14.10 100 pytań do...
14.45 „Był tutaj” — gawęda prof. W. Zina
15.00 Polacy: „Struna” — film dok. o Tadeuszu Siejaku
15.30 Studio Sport: Wyścigi konne
15.45 „Niedziela w Plymouth” — reportaż
16.00 „Zbliżenia, czyli to i owo o filmie”
16.45 Konwój
17.15 Studio Sport: Wyścigi konne
17.30 „Blizy świata” — przegląd TV — sat.
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic
19.30 Galeria „Dwójki”: Jerzy Szot
20.00 Studio Sport: Piłka w grze
21.00 „Usta milczą, dusza śpiewa” — popularne duety operetkowe śpiewają: Grażyna Ciołpińska i Bogusław Morka
21.45 „Queenie” (5-ostatni) — serial prod. USA-ang.
22.34 Komentarz dnia
22.40 Studio Sport: Turniej satelitarny w tenisie

28. VIII – PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

- 17.10 Program dnia
17.30 „Skarbiec” — magazyn historyczny
18.10 „Echa stadionów”
18.50 „Bez granic”
19.00 Dobranoc: „Mysz i wielbłąd”
19.10 „Gorące linie”
20.05 Spektakl na bis: Jean Mazarine „Kołabo — Song”. Przekład: Ziemowit Fedicki. Reż. Grzegorz Warchol. Wys.: M. Pieczyńska, J. Michałowski, A. Ferency i inni
21.35 Kroniki PAT — Tak było...
21.50 „Piknik Country” — Mragowo '89
22.35 Dt — Echa dnia

PROGRAM II

- 17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 Przegląd PKF
19.00 Ojczyzna — polszczyzna
19.15 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
19.30 „Życie muzyczne” — Warsztaty perkusyjne
20.00 Teletrans
20.30 Program publicystyczny
21.15 „Zamyślenia” — pr. H. Wasilewskiej
21.45 Biografie: „Po drugiej stronie raju” — historia Scotta i Zeldy Fitzgeraldów — film dok. prod. ang.-USA, reż. Jill Evans
22.35 Komentarz dnia

29. VIII – WTOREK

PROGRAM I

- 8.50 „Domator” — Marynaty
9.00 Teleferie: „Wakacje z Neptunem i Ikarem”
9.30 Kino Teleferii: „Chłopcy z naszego osiedla” (6) „Myślenie ma przyszłość” — s. prod. węg.
10.10 Dt — Reforma gospodarcza
10.25 „Gdańsk '39” — serial TP (3)
17.30 Program publicystyczny
18.20 „Gliniane tablice, czyli cztery stolice starożytnej Asyrii” — film dok.
18.50 „Bez granic”
19.00 Dobranoc „Przygody Bączka i Pączka”
19.10 Magazyn konsumentów „STOP”
20.05 „Gdańsk '39” — serial TP (3)
21.05 Kroniki PAT — Tak było...
21.20 „Suplikacje Września” — pr. poetycki
21.50 „Wokół wielkiej sceny” — mag. o rowy
22.40 Dt — Echa dnia

PROGRAM II

- 17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 Za chwilę dalszy ciąg programu
19.30 „Blisko nieba” — Na skrzydłach
20.00 ABC — teleturniej językowy
20.30 Program publicystyczny
21.00 Studio Sport
21.45 „Miotacz noży” — film fab. prod. jugoslawijskiej
23.15 Komentarz dnia

● Redakcja nie odpowiada za zmiany w programie dokonywane przez TVP w ostatniej chwili.

nadodrze

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — Pismo Lubuskiego Towarzystwa Kultury

Adres redakcji: Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalina 13 I piętro oraz dla korespondencji: 65-058 Zielona Góra 8 skrytka pocztowa 40. Telefon: redakcja: 44-35, 44-36, 44-37, 44-38, 44-39, 44-40, 44-41, 44-42, 44-43, 44-44, 44-45, 44-46, 44-47, 44-48, 44-49, 44-50, 44-51, 44-52, 44-53, 44-54, 44-55, 44-56, 44-57, 44-58, 44-59, 44-60, 44-61, 44-62, 44-63, 44-64, 44-65, 44-66, 44-67, 44-68, 44-69, 44-70, 44-71, 44-72, 44-73, 44-74, 44-75, 44-76, 44-77, 44-78, 44-79, 44-80, 44-81, 44-82, 44-83, 44-84, 44-85, 44-86, 44-87, 44-88, 44-89, 44-90, 44-91, 44-92, 44-93, 44-94, 44-95, 44-96, 44-97, 44-98, 44-99, 44-100. Redakcja: 44-35, 44-36, 44-37, 44-38, 44-39, 44-40, 44-41, 44-42, 44-43, 44-44, 44-45, 44-46, 44-47, 44-48, 44-49, 44-50, 44-51, 44-52, 44-53, 44-54, 44-55, 44-56, 44-57, 44-58, 44-59, 44-60, 44-61, 44-62, 44-63, 44-64, 44-65, 44-66, 44-67, 44-68, 44-69, 44-70, 44-71, 44-72, 44-73, 44-74, 44-75, 44-76, 44-77, 44-78, 44-79, 44-80, 44-81, 44-82, 44-83, 44-84, 44-85, 44-86, 44-87, 44-88, 44-89, 44-90, 44-91, 44-92, 44-93, 44-94, 44-95, 44-96, 44-97, 44-98, 44-99, 44-100. Redakcja: 44-35, 44-36, 44-37, 44-38, 44-39, 44-40, 44-41, 44-42, 44-43, 44-44, 44-45, 44-46, 44-47, 44-48, 44-49, 44-50, 44-51, 44-52, 44-53, 44-54, 44-55, 44-56, 44-57, 44-58, 44-59, 44-60, 44-61, 44-62, 44-63, 44-64, 44-65, 44-66, 44-67, 44-68, 44-69, 44-70, 44-71, 44-72, 44-73, 44-74, 44-75, 44-76, 44-77, 44-78, 44-79, 44-80, 44-81, 44-82, 44-83, 44-84, 44-85, 44-86, 44-87, 44-88, 44-89, 44-90, 44-91, 44-92, 44-93, 44-94, 44-95, 44-96, 44-97, 44-98, 44-99, 44-100.

dzyski, Ryszard Rowiński oraz Leszek Hermanowicz (red. graf. tech.) Korketa Beata

Lato krzyżówek

NAGRODY — TRZY PREMIOWE BONY OSZCZĘDNOŚCIOWE PKO, KAŻDY WARTOŚCI 10.000 ZŁ, UFUNDOWAŁO PRZED SIĘBIORSTWO W ZIELONEJ GÓRZE SPÓŁDZIELCZEGO ZAKŁADU UBEZPIECZEN „WESTA”. Rozlosujemy je wśród tych Czytelników, którzy do dn. 15 września br. (decyduje data stempla pocztowego) nadesłali na adres naszej redakcji prawidłowe rozwiązanie — hasło. Na kopertę lub kartę pocztową prosimy nakleić wydrukowany poniżej kupon. Życzymy przyjemnej zabawy i szczęścia w losowaniu.

Hasło utworzą litery z pól diagramu ponumerowanych w prawym dolnym rogu.

(Oprac. STANGAR)

Pozioło: 1. żartowniś, 5. hotel studentki, 11. konkurentka PZU, 12. miejsce spalania zwłok ludzkich, 13. bagażowy, 16. austriacki zootechnik (1861-1941), 19. zamek, zatrzask, 20. osłony żarówek, 22. szczotka druczana do czesania włosów, 23. natręt, 24. ornament architektoniczny, 26. miasto w Kotlinie Sandomierskiej, 27. instrument perkusyjny, 28. rączki przy zamkach, 29. człowiek nie należący do żadnej kasty, 31. reżyser, współtwórca widowiska „Dziś do ciebie przyjść nie mogę”, 33. sztuczny język, 38. odmiana racemiczna, 41. atrament do pisania piśmem niewidocznym, 42. prezydent Argentyny od roku 1946, 43. wyuczyć się czegoś, 44. polski konstruktor lotniczy (1884-1939).

Pionowo: 1. silne krwawienie, 2. rzymska bogini ogniska domowego, 3.

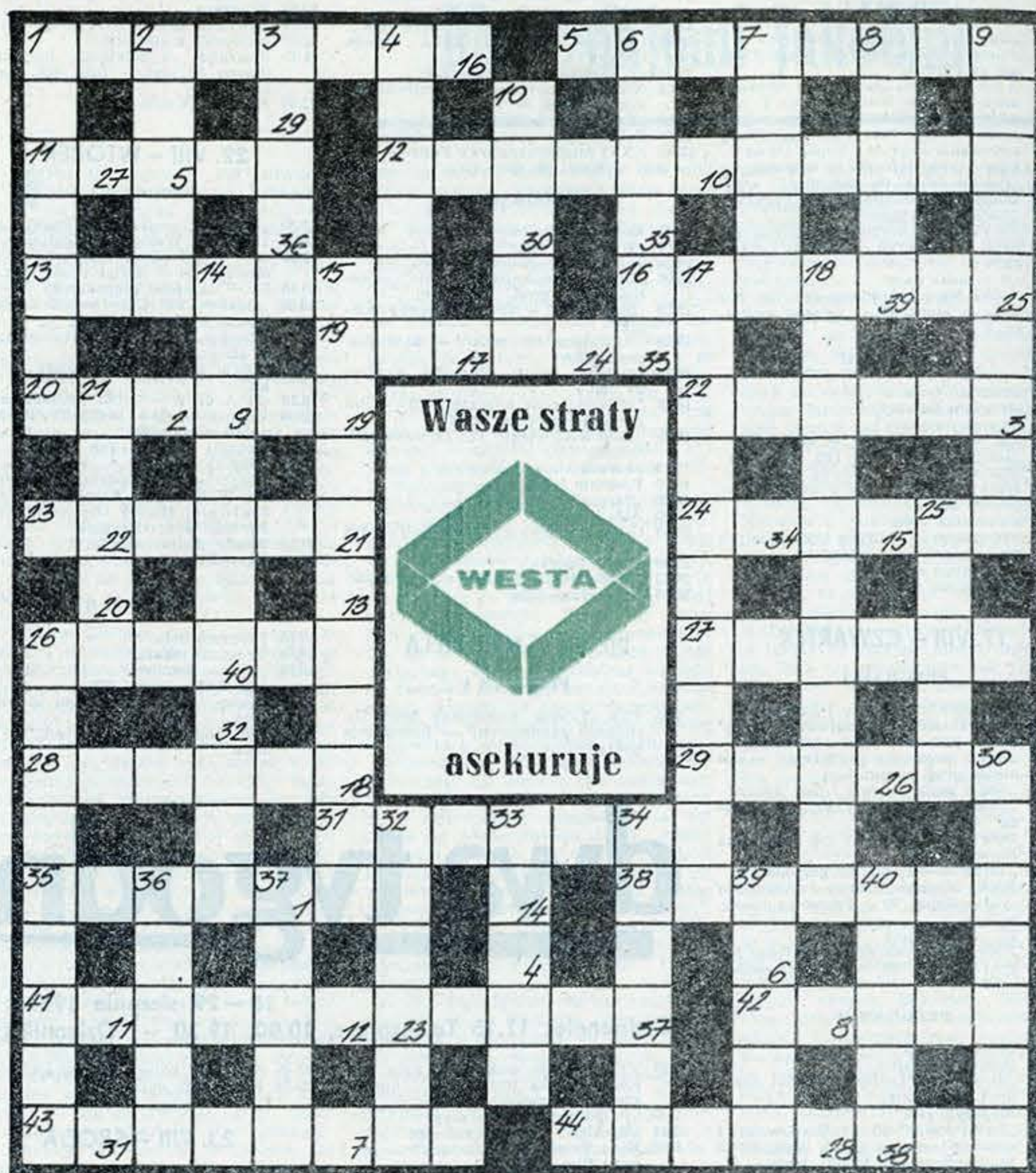
pnąca, 4. odmowa o rękę panny, 6. nóż do nacinania w głowicach frezowych, 7. trasa, 8. stan w USA, 9. pod marynarką, 10. pierwszy w kraju spółdzielczy zakład ubezpieczeń, 14. sztuka kulinarna, 15. odmieniają się przez przypadki, 17. technika wykonania fotografii metodą Daguerre'a, 18. przesmyk, 21. pika, 23. szlak komunikacyjny, 26. miejsce gry miłosnej głuszców, 30. stalowe prety, 32. stan czynny, 33. wyspa hiszpańska, 34. wygięty, 36. gatunek sosny, 37. w muzyce cicho, 39. wyspa włoska, 40. autor Kapitału.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 15

Hasło: „70 lat — Polski Czerwony Krzyż w służbie całego narodu”.

Atrakcyjne nagrody książkowe ufundowane przez Zarząd Wojewódzki PCK w Zielonej Górze, wylosowali: Hanna Strzelczak z Rostarzewa w woj. poznańskim, Stanisław Nosinski z Chojnic, Helena Ewert-Fechner i Alfred Zawadzki z Zagania oraz Ludmila Stawinska, Marek Świątek i Jan Wdowiński z Zielonej Góry. Serdecznie gratulujemy!

Nagrody prześlemy pocztą.



MaReginałki

NIEUSTAJĄCY ZAKUP. Pod takim tytułem „Przegląd Tygodniowy” (nr 31) publikuje relacje swoich korespondentów z frontu walki kolejowo-sklepowej. Grażyna Cudał donosi z Gorzowa: „Jeszcze nie tak dawno kolejkę przed sklepem „Orion” były wówczas, gdy „rzucano” kawę albo wyjątkowy rarytas. Od jakiegoś czasu dzieciarnia wraz z matkami, babkami i ciociami całe dnie spędza pod sklepem. — Co dziś dają? — pyta ktoś starszą panią z wnukiem w wózku. — Ma być cukier — odpowiada grzecznie. Nowym zwycięzcom podsklepowych kolejek stało się życzliwe informowanie najbliższych stojących, gdzie, co i kiedy można dostać. Ale starsza pani też ma jeszcze pustą siatkę. Dopiero go dzina dziewczynka. (...) Dyrektor Wydziału Handlu UW w Gorzowie Jan Szymkow stał i kupuje to, co dają: makaron, mąkę czy cukier. — Lepiej mieć w domu trzy-cztery kilo niż nic — przyzna się, jeśli też ma kupić oset do ogórków. (...) — Nie wiem, jak ratować rynek, otwarcie mówi kierowniczka Wydziału Handlu, Drobnej Wytórczości i Usług Urzędu Miejskiego Barbara Czajka. — Mogę się tylko modlić, żeby ludzie mniej kupowali”. Pomodlić się więc wspólnie! Ale czy Bóg wysłucha? **OPOWIADANIE CZY POWIEŚĆ?** Tomasz Milkowski w szkicu „Nieboszczyka czuje się lepiej”, poświęconym prozie polskiej lat 20 („Kultura” nr 27), polemizując z opiniami Leszka Żulińskiego, wyrażonymi na łamach „Literatury” (nr 4), pisze m.in.: „Nie odnajdziemy bowiem w jego rozległym przeglądzie choćby na pomknąć o tak ważnych książkach IX dekady jak: (...) o opowiadaniach Wojciecha Czarniawskiego...”. Dalej autor stwierdza: „Czarniawski czerpie z tradycji rodzinnych, z chłopięcego losu ojca, jego powikłań i dramatyzmu, sięga również do korzeni najogólniejszych, tkwiących w europejskiej kulturze, w jego szeroko rozchodzących się stojach, od Paryża do Petersburga (...) Czarniawski deklaruje swoimi opowiadaniem wiersz modelowi twórczości (uprawianej przez ojca — pamiętnikarza) służącej opanowywaniu świata i aktywnej weń obecności”. Krytyk słusznie zalicza prozę Czarniawskiego, zwłaszcza „Puszkina w Paryżu”, do najwybitniejszych utworów z grupy „Świadomości kryzysowej”, niemniej jednak — dlaczego utwór rytmiczny zalicza do gatunku opowiadań? Opowiadanie to utworz prozaiczny niewielkich rozmiarów, o prostej, zazwyczaj jednowątkowej fabule — czytamy w „Słowniku terminów literackich” Głowińskiego i współpracowników redagujących tę cenną publikację. Może tedy lepiej te prozatorskie książki nazywać mini-powieściami?

FESTIWALE A URODZAJE. W tym samym n-rze „Kultury”, w relacji z festiwalu piosenki w Opolu zatytułowanej „Skończyło się dobrze” Ryszard Giedroń i Marek Kasz zauważają: „W Polsce Ludowej rubieżie opagnięte suszą ratowane są przed tą klęską w ten sposób, że minister rolnictwa piśmiennie występuje do szefa resortu kultury o natychmiastowe zorganizowanie festiwalu piosenki w stolicy regionu dotkniętego wspomnianym kataklizmem. I najdalej po dwóch dniach śpiewów i zawodów, Opatrzność przy pomocy obfitych opadów atmosferycznych daje do zrozumienia, że „aluzju” poniala”. Przy pomocy tej metody Opol szczyzna wydzignęła swe rolnictwo na przodującą w kraju pozycję, a i Gdańskie, Koszalińskie oraz Zielonogórskie nie narzekają na urodzaje”. Oj, jednak narzekają, narzekają...

NIEKONSEKWENCJA. Pisarz Jan Dobraczyński w lipcowym programie I Polskiego Radia wyznał, że „potrafi pisać o pewnych wydarzeniach tylko z perspektywy historycznej”. Tymczasem „W rozwalonym domu” i „Najeźdźcy” to książki o wojnie pisane podczas wojny i wydane zaraz po jej zakończeniu. **POPIERAMY.** Pisarka Maria Nurowska w „Polityce” (nr 28) mówi o programach telewizyjnych: „... swoje zwierzenia na temat telewizji zaczęła od tego, że coraz większy sprzeciw budzi we mnie program „Telewizja noc”, który stał się cotygodniową lekcją ekshibicjonizmu. Uczą w tej szkółce jak najlepiej sprzedać swoje nieszczeście, jak zaplać do kamery, jak zademonstrować wykręconą rączkę lub nóżkę. Nietak po leża na tym, że w domu powieszzonego nie mówi się o stryczku. Zachód może sobie pozwolić na takiego rodzaju show, bo ma dobrobyt w tle, u nas pogłębia on syndrom biedy, tak bym to nazwała”. Święte słowa!

TO BRZMI JAK SEN. W tekście pt. „Ostatnia cyganeria” Hanna Bałtyn („Tygodnik Kulturalny” nr 31) omawia wydawną pod takim tytułem wspomnieniową książkę Tadeusza Wittlina. Oto jak się żyło przedwojennej artystycznej cyganerii: „W dzień odgrywania się wszyscy wódki czystą z obfitą zakaską, wieczorem balują w Adria pięć drogie albo pogardzone w głębi duszy Martele. Hulaszczy tryb życia co się zowie. Ale nawet to, nawet dandym czy okresowe wyjazdy za granicę nie tłumaczy, co ta rozbrzykana bohema robiła ze swoimi pieniędzmi. Bawiliem zarobki wziętego poety, młodszej generacji zresztą — bo o zarobkach takich tużów jak Marian Hemar i Julian Tuwim strach pomyśleć — musieli być niebotyczne. Jeden fragment powieści odcinkowej kosztował 25 zł, a odcinki ukazywały się pięć razy w tygodniu. Jedną piętnastominutową audycję radiową przyniosła 300 zł. Ogłoszenie nie dużej firmy — 500 zł. Wittlin zlekceważył sobie pewnego razu propozycję szefa reklamy pralni Asko, siegając mego Bursztyna, biorąc ją za żart, a

siedzący w tej samej „Ziemiańskiej” na „górze” Antoni Słomiński zainkasował pół tysiąca od ręki za niewymyślne hasło „Asko — pierze wszystko”. Zaliczka na scenariusz filmowy — 500 zł. Kupiony scenariusz — dwa, trzy, w przypadku Tuwima — pięć tysięcy. Nagroda literacka — dwa tysiące złotych. Gdy do stał ją Słowotek Karpieński za „13 wierszy”, pojechał do Paryża...”. Ciekawe, gdzie też pojadą tegoroczni zielonogórscy laureaci Nagród wojewody za otrzymane zlotówki?

DRAMAT ORGAZMU. Poznański tygodnik „Wprost” (nr 29) za „Sternem” przytacza relacje ze „Szkółki orgazmu”, funkcjonującej w Monachium tylko dla pań pod hasłem „Nasz cel — prawdziwy orgazm”. Oto fragment pasjonującej i dramatycznej relacji: „Chris radzi Annemarie, aby zamiast wibratora próbowała „to” robić przy pomocy przysznica. Gwarantuje taki sam efekt, a nie brzęczy. Annemarie obiecała, że być może kiedyś spróbuje i tego, i tego. Ale jeszcze nie teraz. Za tydzień przyszła sfrustrowana. Z przysznica nie wyszło. Walczyła dobre pół godziny i nic”. Biedna Annemarie, jakież ona na tym Zachodzie ma dramatyczne kłopoty!

INTERES. W relacji z tegorocznych Międzynarodowych Targów Książki w Warszawie Jacek Tomski donosi w „Szpilkach” (nr 26): „Dyrektor Elmers (wydawca „Encyklopedii Brytyjskiej” — nasz przyp.) i w Warszawie zrobił interes na skalę możliwości państwa, do którego przybył. Nie sprzedał ani jednego egzemplarza swojej 32-tomowej „Kobyl” wartości od 2,2 tys. dol. do 7,5 tys. dol. (w zależności od oprawy). Natomiast jeden zestaw podarował...”. On już dobrze wiedział, komu podarować.

URLOP. Jak wyznał felietonista „Gazety Lubuskiej” Zbigniew Ryndak (w n-rze z dnia 26.VIII) udaje się na dwumiesięczny urlop, aby... pisać powieść o Zydach. Odetchnięliśmy: gazeta zyska w tym czasie na poczytności, polskiej prozie współczesnej nie nie zagraża a nasz kraj nie przeobrazi się w „drugą Japonię”, bo tam urlopują tylko kilka dni w roku.

ARBITRALNY ATLAS. Felietonista Janusz Atlas, etatowy recenzent programów telewizyjnych na łamach „Szpilek”, w n-rze 27 chwali „Raport” Andrzeja Turskiego i Bogusława Wołoszańskiego — cykl audycji międzynarodowych: „Najważniejsze zaś, że ani Turski, ani Wołoszański nie próbują się mądrzyć, w przeciwieństwie do tzw. zagranicznych komentatorów DTV. Ci ostatni z góry wszystko wiedzą lepiej Panowie T. i W. nie wiedzą, albo przyjmują dobrze to ukrywają, i dlatego są lepsi. Pozwalają telewizjom na lukus własnego zdania. I są wiarygodni. A Wołosz — nie”. A na ile wiarygodne są tak arbitralnie formułowane opinie pana Atlas? Zwłaszcza o świetnym Wołoszku.

TO TYLKO SPORT

Celebranci

Ładnych parę lat przyglądam się sportowi z bliska, nierzadko zdarza mi się patrzeć nań także zza kulis i są sprawy, które wciąż mnie dziwią i zdumiewają. Najogólniej mówiąc, idzie o to, że organizatorzy imprez często jakby zapomnieli, czemu i komu sport powinien służyć.

Zapominają, że ukoronowaniem wysiłku działaczy, sędziów, trenerów i zawodników powinno być widowisko, i to widowisko na możliwie najwyższym poziomie sportowym i organizacyjnym. Ludzie przychodzą na zawody sportowe, że by przeżyć miłe chwile, doznać nieco wrażeń i emocji. I wszystko powinno być temu podporządkowane. Nie zawsze jednak tak jest. Jeżeli sportowcy poruszają się po boisku, jakby odrabiali pańszczyznę, to jeszcze pół biedy, to za wszelką cenę wytłumaczyć spadkiem formy...

Gorzej, gdy organizatorzy niezbyt przejmują się kibicami i zawody toczą się tak, jakby były tylko dla nich. Im wyższe rangi imprezy, tym więcej kręci się wokół niej ludzi, o których można powiedzieć tylko, że są.

Duża impreza stwarza duże możliwości „przyklejenia się”. Darmowe wyżywienie, co nieco do zjedzenia i wypicia podczas „konferencji prasowych”, którą to nazwą sprytnie zastąpiono niegdysiejsze bankiety, ale co i tak na jedno przeciętne wychodzi.

Impreza wysokiej rangi musi mieć obowiązkowo komitet honorowy i organizacyjny. O ile w komitetach organizacyjnych (tych mniejszych rang) można znaleźć kilku ludzi, którzy rzeczywiście sporo się napracują, o tyle skład komitetów honorowych to prawdziwy polski patent. Jak znam życie, wielu tych członków honorowych spełnia tylko funkcje ozdobne. Nie brakuje na tych długich listach także takich, którzy czasem nawet nie bardzo wiedzą, o co w danej imprezie chodzi. No, ale komitety honorowe, bardzo poprawiają samopoczucie organizatorów, a i grono celebrantów podczas bankietów wydaje się im jakby znaczące. Można się ożreć o tylu prominentów naraz, niektórzy nawet rękę

podają. A to nobilituje niedowartościowanych działaczy.

Dobre nastroje utrzymują się też po zakończeniu imprezy. Zwykle przewodniczący komitetu honorowego zaprasza wówczas celebrazantów do siebie na uroczyste podsumowanie. A przy „kawie” każdy, kto się przy imprezie „napracował”, otrzymuje słowa podziękowań i kopertę z biletami NBP.

Czasem celebrantami są sędziowie niektórych dyscyplin sportowych. Uważają się za pępek świata i że nie mają na przykład to, że widzowie i zawodnicy długo muszą czekać na ogłoszenie wyników zawodów. Sędziowie spokojnie liczą wyniki i wtedy wara od nich, bo mogą pocieszać intruza cierpkim słowem. Zdarza się to podczas zawodów kolarskich, łyżniarskich, katingowych i w kilku innych dyscyplinach. Sędziowie celebrowaniem obliczania wyników skutecznie wypłoszają z widowni nawet najbardziej cierpliwych widzów. A potem, tak jak niedawno podczas imprezy motocyklowej w Gorzowie, wręczanie nagród zwycięzcom odbywa się już tylko na oczach innych zawodników, podczas gdy same zawody oglądało kilka tysięcy widzów...

Iście kabaretowym wynalazkiem organizatorów imprez sportowych są uroczyste otwarcia zawodów. Utało się, nie wiedzieć czemu, że owe otwarcia odbywają się wtedy, gdy... zawody już dawno trwają.

Rekord godny księgi Guinnessa ustanowili z pewnością organizatorzy tegorocznej XVI Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży w Kielcach. Uroczyste otwarcie imprezy, z udziałem całego zastępu celebrazantów, odbyło się dokładnie w... tydzień od chwili jej rozpoczęcia! Gala odbyła się, kiedy wielu uczestników spartakiady zakończyło już rywalizację i wyjechało do domu. To prawie jak w dowcipie o audycji zatytułowanej: „Dziś pytanie — wczoraj odpowiedź”. Trzeba było słuchać radia...

KRZYSZTOF HOLYŃSKI